Cena 15 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

W numerze:
Z. Grabowski
Zamek i rzeka
*
W. Kubacki
„Uciekła mi przepióreczka"

Rok IV — Warszawa, dnia 1 czerwca 1947 r. — Nr 22 (131)

FRANTISZEK HALAS

CO WIERSZ ZOBACZYŁ

Za łapówkę słowa
przejść do was chciałem przez cienie
Klinowym pismem gałęzi
zima pisała orędzie.

I zgawroniałe smutkiem rymy
ciężko pomknęły za martwymi
Puzony sądu brzmijcie,
szalbierstwo mandolin milcz
zawrotność mroku mnie gniecie
rozdartej ziemi głąb.

Pod jakim sztandarem się bić
Wolności wicher nie chce
wolności wicher nie chce
żadnego już rozwichrzyć.

A wszystkie moje słowa
ten wiatr ścigają
moje bezsilne słowa
ze skrzydłami nadziei.

Gdy wiersz obejrzał się co wiersz zobaczył
wiersz mój, ta żona Lota
że oniemiał skamieniał
milczeniem się omotał.

Co wiersz zobaczył?

Zastępy sprawiedliwych
których Bóg nie słyszał.

(„Torso nadeje")
przełożył K. A. Jaworski

JOSEF KAINAR

PO WOJNIE

Tych armij, które ciągnęły przez kraj nasz,
pamiętam już kilka.
Coraz inne mundury,
coraz inna mowa,
a tylko płytkie groby w polu
i głęboka nienawiść
zostały tu po nich.

Słońce mych Moraw mocne i czerwone,
z winnic tam w dole takie tłoczą wino,
woli pełne
słońce i elektrownie,
aby się żyło w jasności,
gdy na Morawy wieczór spada,
jak czarne i domowe zwierzę
z gwiezdnymi oczami.

Z tych armij, które ciągnęły przez kraj nasz,
tylko o jednej nigdy nie zapomnę!
A pierwszy czołg jej, który zobaczyłem,
mam dotąd w sercu,
Czołg ciężki jak radość,
która wybucha i grzmi przez doliny
mych Moraw.

I napisy na grobach czerwonych
w ogródkach obok szosy,
na przedmieściach
będą tym pierwszym abecadłem,
z którego uczyć się będą nasi synowie

(„Nove mythy")
przełożył K. A. Jaworski

JAROSLAV SEIFERT

ROZMOWA ZE ŚMIERCIĄ

(na śmierć Prezydenta Masaryka)

Ty, która płacisz więcej, niźli płaci złoto,
która wszystko masz w ręku, co nie zna powrotu,
ty, w czyich dłoniach człowiek się odmienia,
zbywszy świata ciężarów, sama bez brzemienia,
ty, co surowo każesz, byśmy żywi nieśli
boleść najokropniejszą, sama bez boleści,
ty, która przyjdziesz po nas swej zdobyczy pewna,
ty, której uderzenia nikt godziny nie zna,
ty, śmierci, śmierci, wieczna życia tanecznico,
przed którą nie ostoi się żadna przyłbica,
ni stal, ni marmur rzeźby, ani świątyń ściany,
ty, przewodniczko martwych w krainach nieznanych,
ty, jedyna niezmienna na tym naszym świecie,
oto masz ciało martwe tutaj na lawecie,
weź je, to najpiękniejsze, co ci naród składa,
ten naród, co rozpaczą już swoją nie włada,
oddając ci ze łzami skarb największy oto,
tobie, która masz wszystko, co nie zna powrotu,
ale weź je do głębi, gdzie największy spokój,
gdzie w ciemności świt żaden nie zabłyśnie w oku,
niechaj spocznie już martwy, spocznie sprawiedliwy.

Nad grobem jego płacząc stoi naród żywy.

przełożył K. A. Jaworski

fot. Film Polski

Na przyjęciu urządzonym przez „Odrodzenie" w SARPie: M. Pujmanova i J. Iwaszkiewicz; F. Halas i J. Zagórski

Pisarze czescy i słowaccy w Warszawie

Pobyt pisarzy czeskich i słowackich w Polsce stał się manifestacją gorących uczuć i zainteresowania dla literatury czeskiej, uwypuklił liczne i istotne związki, jakie nie od dziś łączą piśmiennictwo naszych pobratymczych narodów.

Dnia 19 maja odbyło się pierwsze spotkanie gości z Warszawą literacką w Muzeum Narodowym, u dyr. Lorentza.

Dnia 20 maja minister Dybowski udekorował Franciszka Halasa Komandorią Polski Odrodzonej, a wieczorem na przyjęciu u ministra Kultury, i nazajutrz u Jarosława Iwaszkiewicza w Stawisku oraz w Ambasadzie Czechosłowackiej zadzierzgnęły się serdeczne stosunki osobiste między pisarzami czechosłowackimi a polskimi.

Inny charakter miało przyjęcie, urządzone przez redaktorów „Odrodzenia" K. Kuryluka i A. Wata w salonach SARPu. Było to zebranie o charakterze informacyjnym i dyskusyjnym. Uświetnił je swoją obecnością ambasador Czechosłowacji oraz goście czechosłowaccy, a brali w nim udział m. i.: M. Dąbrowska, Z. Dembińska, A. Bocheński, Wł. Broniewski, St. R. Dobrowolski, J. Dobraczyński, J. Iwaszkiewicz, H. Ładosz, G. Karski, L. Kruczkowski, H. Michalski, J. N. Miller, A. Sandauer, R. Szedivy, K. Wyka, J. Zagórski, J. Zawieyski, J. Żuławski.

Jerzy Zawieyski scharakteryzował w skrótach różne ugrupowania i kierunki współczesnej literatury polskiej: Jednym ze skutków minionej wojny w literaturze naszego narodu jest walka o światopogląd. Walczą ze sobą, jak wszędzie w Europie, trzy główne prądy ideologiczne i filozoficzne: marksizm, katolicyzm i liberalizm. Każdy z tych prądów stawia literaturze odpowiednie zadania, doceniając wartość wpływu sztuki pisarskiej na masy czytelnicze. Zaraz po odzyskaniu niepodległości w prasie literackiej pojawiły się postulaty ideowe i artystyczne w odniesieniu do literatury. Powiedziano, że cechą nowej literatury — w odróżnieniu od dawnej, winien być realizm. Zagadnienie realizmu stało się w pierwszym okresie głównym zagadnieniem teoretycznym, dyskutowanym przez krytyków i pisarzy. W czasie dyskusji wyłoniły się kwestie realizmu tradycyjnego i realizmu nowego, kwestie czystości gatunku w odniesieniu do prozy, kwestie moralności dzieła i jego motywacji filozoficznej itd. Były to postulaty. Dyskusja nad nimi bynajmniej nie jest zakończona. Książki, jakie się pojawiły, nie potwierdzają postulatów krytyki. Zresztą książki te były pisane w czasie wojny.

Nasze Ministerstwo Kultury i Sztuki, nasze czynniki oficjalne, nie wysunęły pod adresem literatury żądań szczegółowiej sformułowanych. I to podkreślić należy z uznaniem. Na tezę zaś związków literatury z życiem godzą się wszyscy.

Główną troską pisarzy, krytyków i pism literackich, obok kwestii ideowych, jest troska o poziom artystyczny literatury. Wulgaryzacja jest wspólnym naszym wrogiem, niezależnie od przekonań, jakie nas dzielą lub łączą. Sądzę, że podobne troski mają pisarze czescy i słowaccy.

Maria Pujmanova: Z wielką radością konstatuje, że po raz pierwszy ma możność rozmawiać z literatami polskimi o wspólnych sprawach i troskach. Mówiąc o tendencjach literatury stwierdza, że pisarz winien mieć dziś bardziej niż kiedykolwiek poczucie odpowiedzialności za swoje słowa, powinien dbać o to czujnie, aby do jego twórczości nie przenikały choćby i nieuświadomione wpływy ideologij faszystowskich. Nie jest jednak ważne, czy pisarz będzie pisał o sprawach tylko ideologicznych — dzieło dobrze napisane, w którym można znaleźć człowieka, dokona więcej aniżeli długie tyrady publicystyczne.

Leon Kruczkowski: Kol. Zawieyski podkreślił fakt, że w dzisiejszej Polsce twórca nie odczuwa w swej pracy nacisku czynników państwowych. Chciałbym stwierdzić, że polityka kulturalna naszego rządu jest konsekwencją form ustrojowych nowej Polski. Formy te charakteryzuje, jak wiadomo, współistnienie trzech sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego. Jest rzeczą dla każdego chyba widoczną, że świat twórczości kulturalnej ciąży **na ogół** ku temu ostatniemu środowisku, którego klimat zdaje się najbardziej odpowiadać zarówno charłupniczemu charakterowi produkcji artystycznej, jak i liberalistycznym czy nawet anarchistycznym skłonnościom twórców. Z tego prostego zjawiska, z tych nieuchronnych konsekwencyj ustrojowych zdają sobie sprawę ci, którzy — słusznie skądinąd — stawiają na porządku dziennym hasło twórczości „postulowanej". Z drugiej strony jednak i twórcy powinni w pełni rozumieć, że kultura nie jest i nie może być jedynie produktem „wolnorynkowym". Jeśli określenie kultury jako najwyższego dobra narodowego nie ma być tylko okolicznościowym frazesem, musi i twórczość w tej dziedzinie rozwijać się jako proces integracyjny, stapiający świadomość pisarza z wolą, dążeniami i potrzebami mas. Twórczość „postulowana" to przede wszystkim twórczość postulowana **wewnętrznie,** z głębi nie tylko artystycznego, ale i społecznego sumienia twórcy. Czas skończyć z „kibicowaniem" rzeczywistości. Zdolność do wizji, stanowiąca główną siłę pisarza, winna być używana jako aktywny oręż w wielkim dramacie dziejowym, którego wszyscy jesteśmy aktorami. Wszyscy a przede wszystkim nasze słowiańskie narody.

K. Wyka: Chcąc się porozumieć, może należy mówić o faktach raczej aniżeli o postulatach. Postulaty wskazują dzisiaj słusznie na sprawę realizmu jako główną. Tymczasem doświadczenie poucza, że w naszym piśmiennictwie przed wojną nie tylko ujęcie czysto realistyczne mówiło o przeżywanej rzeczywistości. Również literatura groteski i ekspresji pozarealistycznej wskazywała dokładnie przez pryzmat satyry na sprzeczności i dziwactwa epoki. Powieść społeczna i walcząca Kruczkowskiego i podobnych pisarzy oraz powieść ironii i drwiny Gombrowicza — oto rozpiętość ówczesnego wachlarza. Wojna nie zamknęła tej rozbieżności i nie rozstrzygnęła dotąd w samej twórczości literackiej, czy znane nam dokładnie wyglądy powieści realistycznej zdołają odtworzyć obraz epoki. W tym sensie postulaty krytyczne wybiegły przed twórczość, albowiem w nich wyraziły się słuszne potrzeby nowego czytelnika.

I tu jest problem do wspólnej dyskusji pisarzy czeskich, słowackich i polskich: Czy podobnie oceniają oni sytuację prozy w ich kraju, czy podobnie wyłania się wizja jakiejś nowej formy powieściowej prawdy, formy, w jakiej zostaną już inaczej, nie dla celów egotycznych, zużytkowane zdobycze warsztatu pisarskiego lat międzywoje ch.

ało

Valie Rzezacz: porusza kwestię egzystencjalizmu. Tu właśnie widzi pewne niebezpieczeństwo, z którym trzeba będzie walczyć. Niestety, młodzież chyba najwięcej ulega jego wpływom. Określa egzystencjalizm jako filozofię nihilizmu, obezwładniającą aktywną wolę do życia. Istotne jest dziś omawianie spraw najważniejszych, które w rozbieżnościach epoki łączą dziś ludzi dobrej woli. Przykładowo przytacza historię czeskich organizacyj kulturalnych. Zaraz po wojnie były dwie organizacje: Gmina Kulturalna i Związek Kulturalny. Wydawało się, że kultura czeska przechodzi okres rozłamu ideowego na dwa obozy. Okazało się jednak w toku dyskusyj, że w zasadniczych kwestiach nie ma różnic: pisarze obydwu obozów przyjmują w swej twórczości postulat humanizmu socjalistycznego. Uzgodnienie podstawowych poglądów doprowadziło do fuzji w jedno Zjednoczenie Kulturalne. W granicach „Jednoty kulturni" jest miejsce na szeroką dyskusję. Na zakończenie Rzezacz zaprasza kolegów polskich na zjazd pisarzy słowiańskich w roku 1948.

Dr. Rudo Brtań porusza kwestię wspólnoty słowiańskiej. Literacki język słowacki istnieje zaledwie od stu lat. Literatura słowacka nie może rozwijać się bez bratniego związku z Czechami i bez ścisłych kontaktów z Polakami i Rosjanami.

Artur Sandauer domaga się prawa do nieostateczności formułowanych poglądów literackich, do ich ustawicznej niegotowości. Nie można tworzyć, nie tworząc wciąż samego **siebie.** Lecz niegotowość nie jest równoznaczna z nieodpowiedzialnością. Ta dziś średnia generacja pisarska, która debiutowała w latach przedwojennych, była pokoleniem formalno-treściowych linoskoczków. (Ostre protesty Broniewskiego i Dobrowolskiego). Najwyższe osiągnięcia tej doby: Schulza i Gombrowicza, stoją na nieprześcignionym dotąd technicznym poziomie. Utkane z pajęczyny zarówno poezja, jak i proza tego okresu nie umiały udźwignąć ciężaru szerszych zagadnień. Te natomiast dzieła, które brzemieniu temu umiały sprostać, były zacofane technicznie. Stąd przepaść między karmionymi byle czym masami a sztuką, przepaść, którą w obecnej chwili usiłujemy — nie wiadomo czy skutecznie — zapełnić.

St. R. Dobrowolski ostro protestuje przeciwko uogólnieniom Sandauera. Pokolenie o którym mówi Sandauer, miało owszem, i swoich linoskoczków. Było jednak i pokoleniem literatury walczącej, literatury odpowiedzialnej wobec mas i narażającej się ówczesnemu reżimowi. Ma ono za sobą poważny dorobek ilościowy i jakościowy.

A. Wat wypowiadając się za literaturą realistyczną jako tą, której mają prawo domagać się nowe warstwy, powołane do życia kulturalnego, wskazuje na wieloznaczność terminologii oraz na względność wartości poznawczej realizmu. W dyskusjach na ogół zapomina się o tym, że wszelkie „izmy" powstawały raczej jako hasła, raczej były zawołaniami bojowymi niż formułowaniem praktyki literackiej. Stąd ich ograniczona użyteczność w krytyce. Na przykładzie literatury niemieckiej lat międzywojennych wskazuje, jak bardzo może odbiegać obraz, podawany choćby przez najtęższych realistów, od rzeczywistości obiektywnej. Który z realistów niemieckich ujawnił, bodaj w słabym odbiciu, rzeczywiste oblicze narodu niemieckiego? Czy nie uwierzyliśmy wielkiemu pisarzowi T. Mannowi, że subtelny neurastenik Hans Castorp (Zauberberg) jest reprezentacyjnym typem niemieckiego młodzieńca? Niezmiernie trudno jest ustalić kryteria, które by pozwoliły określać stosunek prawdy między obrazem literackim a jego odpowiednikiem w rzeczywistości obiektywnej. Nie zwalnia to jednak pisarza od obowiązku służby społecznej, zwłaszcza w dzisiejszym, chyba nowonarodzonym, świecie.

PISARZE CZECHOSŁOWACCY W RYSUNKACH ANDRZEJA STOPKI

M. Pujmanova

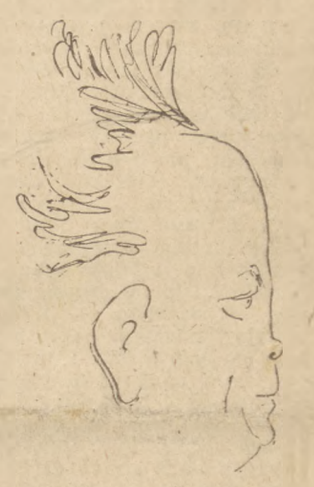

F. Halas

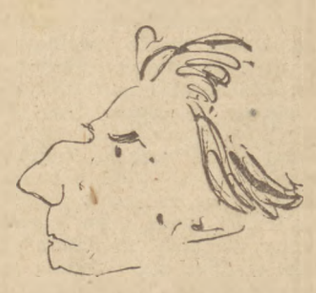

P. Buńczak

V. Rzezacz

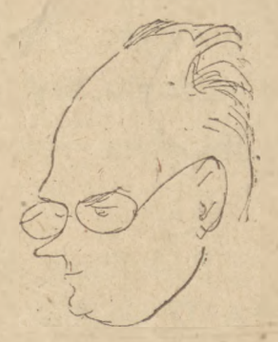

A. C. Nor

ADAM SCHAFF

HUMANIZM SOCJALISTYCZNY A MORALNOŚĆ ABSOLUTNA*)

Znana bajeczka opowiada, jak to niedźwiedź z miłości do swego przyjaciela tak gorliwie spędzał muchę z jego nosa, aż mu zmiażdżył czaszkę. Stąd poszło powiedzenie „niedźwiedzia przysługa". Taką prawdziwie niedźwiedzią przysługę wyrządził marksizmowi Paweł Konrad swym artykułem „Marksizm bez przyłbicy" („Odrodzenie", nr. 123-124).

„Marksizm bez przyłbicy" jest ilustracją prawdziwości znanego przysłowia ludowego „broń nas Boże od przyjaciół, itd". Istotnie mniej kłopotu sprawia jawny przeciwnik, którego negatywny stosunek do sprawy nie pozostawia wątpliwości i któremu należy wypowiedzieć uczciwy, otwarty bój, aniżeli taki sojusznik, który mieszając prawdę z błędem, dobre chęci z przekręcaniem istotnego stanu rzeczy, wprowadza ludziom mętlik w głowę i utrudnia zwalczanie fałszywych poglądów. Tym bardziej, gdy — jak Paweł Konrad — robi to pod szum antydogmatyzmu i „twórczego" marksizmu — haseł chwytliwych i w istocie swej słusznych.

Artykuł Konrada przedstawia prawdziwy embarras de richesse błędnych poglądów na marksizm. Zamazując od początku samo pojęcie humanizmu — mimo odwoływania się do semantycznej analizy neopozytywistycznej krytyki— autor szuka go wszędzie, i tam, gdzie można go znaleźć, i tam, gdzie go znaleźć nie można. Dlatego też wędruje po różnych dziedzinach, co otwiera szerokie pole dla błądzenia. Wdawanie się w dyskusję na te tematy peryferyjne odwiodłoby nas zbyt daleko od tematu, którym jest problem humanizmu. Dlatego ograniczymy się do sprawy moralności. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności, aby przynajmniej en passant nie poruszyć zagadnień „kompleksu materii" i „bytu i świadomości", szeroko omawianych w artykule.

Swój artykuł pisze Konrad z wyraźnym celem przekonania niemarksistów o marksowskim humanizmie. „Istnieją jednak zagadnienia — stwierdza — które utrudniają totalnym humanistom dostęp do marksizmu i utrudniają totalnym marksistom pełne ujawnienie się w humanizmie". Aby nie „talmudyzować argumentów", jak powiada, i ułatwić sprawę obu stronom, zabiera się do dzieła „po nowemu".

I tu autor popełnia zasadniczy błąd, który mści się na całej jego postawie. Marksiści uważają mianowicie, że „totalny" humanista tak samo nie jest humanistą, jak „totalny" demokrata nie jest demokratą. „Totalny" demokrata bowiem daje wrogom demokracji wolność działania **przeciw** demokracji i staje się przez to sojusznikiem jej wrogów; „totalny" zaś humanista pseudoargumentami „człowieczeństwa" jest skłonny pokrzyżować wszelką walkę przeciw wrogom tegoż człowieczeństwa. Dlatego też marksiści mogą dobrotliwie tłumaczyć tym „totalistom" ich błędy, lecz nigdy nie schodzą na ich pozycje. Konradowi zdarzyło się zaś właśnie to nieszczęście. Chcąc na gwałt przekonać „totalistów", podaje im usłużnie strawny dla nich „marksizm" własnego wyrobu, nie spostrzegając nawet tego, jak sam przechodzi na pozycje mieszczańskiej ideologii.

Jest wyraźna granica między antydogmatycznym, twórczym stosowaniem marksizmu (z którym wszyscy się zgadzamy), a jego negacją. Użycie miana marksisty zobowiązuje do czegoś pozytywnie, nie tylko do mglistej „postawy wobec rzeczywistości", do której autor chce sprowadzić całe zagadnienie. Marksizm to nie tylko metoda, jak to twierdzili rewizjoniści, ale i całkowity system, wprawdzie niedogmatyczny, wprawdzie dynamiczny, zmienny, ale w każdym konkretnym okresie konkretnie zarysowany. Gdy powiadam, że jestem marksistą, to znaczy, że stoję na gruncie systemu naukowego Marxa plus nowe tezy, wysnute na podstawie jego metody z badania rzeczywistości w konkretnych, nowych warunkach historycznych. Dalej, znaczy to, że jeśli odrzucam jakąś tezę systemu Marxa jako przestarzałą, muszę udowodnić na podstawie **metody** Marxa, że w nowych warunkach jest ona rzeczywiście przestarzała i winna być zastąpiona nową. Nie ma więc mowy o skostnieniu, o dogmatyzmie, ale nie ma też mowy **o dowolności.** System Marxa jest jedną zwartą całością, z której nie można usunąć żadnej cegiełki bez szkody dla całości. Nie trudno więc przeprowadzić granicę między twórczym, antydogmatycznym marksizmem a negacją marksizmu. Dlatego też marksiści mają ten zwyczaj, czasami nadużywany, cytowania klasyków. Nie dlatego bynajmniej, by cytata miała zastąpić dowód, ale dlatego, by móc w każdej chwili przeprowadzać samokontrolę przestrzegania granicy między twórczym stosowaniem marksizmu w nowych warunkach — a jego negacją. Gdy odrzucam jakąś klasyczną tezę marksizmu i daję dowód na podstawie całości systemu i metody marksizmu, że jest ona w nowych warunkach przestarzała, to stosuję twórczo marksizm i jestem marksistą, mimo że określonych tez Marxa nie akceptuję (np. gdy marksiści odrzucają w ustroju demokracji ludowej konieczność rewolucji proletariackiej i dyktatury proletariatu); gdy natomiast odrzucam określone tezy marksizmu, nie udowodniwszy, że konieczność ich zmiany wypływa z badania konkretnej rzeczywistości zgodnie z założeniem marksizmu, to po prostu nie jestem marksistą, neguję marksizm. Konrad tak strasznie boi się „talmudyzowania", że wylewa dziecko wraz z wodą, tzn. tak „przedobrza" swój krytycyzm, że na koniec pozostaje z próżnymi rękoma.

„Totalni" humaniści cierpią, jak się okazuje, na „kompleks materii", tzn. po prostu obawiają się materializmu. Konrad w zapale nawracania grzesznych dusz postanowił wobec tego zademonstrować publice kuglarską sztukę i udowodnić, że materializm nie jest materializmem. W zapale nie spostrzegł jednak, że to, co trzyma w ręku, to nie materializm, ale idealizm. Właściwie udowadnia, że idealizm to idealizm — na co doprawdy szkoda czasu, bo temu i tak wszyscy wierzą.

Materializm dialektyczny odróżnia filozoficzne i fizykalne pojęcie materii. To rozróżnienie jest konieczne dla obrony filozoficznego materializmu przed pochopnymi wnioskami o „zniknięciu" materii itp. Materializm filozoficzny wiąże swe istnienie z tezą o obiektywnym, tzn. niezależnym od wszelkiego poznającego umysłu, bycie materii oraz czasu i przestrzeni jako form bytu materii, która znajduje się w ciągłym ruchu. Jaka jest natomiast **budowa** materii, o tym rozstrzygają nauki ścisłe i zmiana pojęć o strukturze materii nie narusza jej koncepcji filozoficznej.

Wedle Konrada to rozróżnienie ma uzasadniać rezygnację marksizmu z wszelkiego wartościowania teorii fizykalnych. Autor wyobraża sobie pracę naukowca-fizyka jako oddzieloną murem chińskim od wszelkich uogólnień światopoglądowych i nawołuje, by tym naukowcom nie przeszkadzać. Nikt też nie zamierza im przeszkadzać w pracy fachowej, która automatycznie bogaci skarbnicę wiedzy marksistowskiej, ale możliwość oddzielenia tej pracy od filozoficznych uogólnień jest fikcyjna. Dlatego Engels twierdził, że fizyk, który chciałby to zrobić i odrzucić wszelką filozofię, automatycznie wpada w ramiona wulgarnej filozofii. Zwłaszcza dziś, gdy o oddzieleniu np. teorii kwantów od filozoficznych problemów zasady przyczynowości i teorii prawdopodobieństwa, teorii Einsteina od filozoficznych zagadnień czasu i przestrzeni itd., może mówić tylko człowiek, który tych zagadnień nie zna. Tak samo zresztą jak ten, kto za Konradem zagadnienia czasu, przestrzeni i ruchu chciałby zaliczyć do zagadnień **struktury** materii. Podobnie jest przesadnym optymizmem twierdzenie, że każdy naukowiec jest materialistą, choć niewątpliwie powinien by nim być. Że tak nie jest, świadczą o tym choćby nazwiska bardzo wybitnych naukowców, którzy wręcz odrzucają materializm na rzecz idealizmu. I dlatego szukanie linii klasowego podziału i w fizyce, i w biologii jest nadal tak samo aktualne, jak i w czasach ironicznie przez autora potraktowanego „dziecięcego radykalizmu" teorii marksistowskiej.

Trudno wyczerpać tę całą skarbnicę błędów i wykoślawień, którą autor nagromadził w jednym rozdziale. Trudniej tym bardziej, że przedstawia on dziwaczną mieszaninę prawdy i błędu, gdzie np. w ślad za słusznym twierdzeniem o pokrywaniu się postawy materialisty z postawą naukowca idzie teza, że dialektyka nie daje pozytywnej wiedzy o ruchu materii, że jest ona dodatkiem do logiki formalnej, itd. Można wyznawać poglądy jakie się chce, ale rzetelność naukowa wymaga, aby je podpisywać własnym nazwiskiem i nie angażować tu Bogu ducha winnego Marxa.

Ciekawsze jest zagadnienie, jaka jest ideologiczna podstawa tej dziwnej mieszaniny. Autor dopowiada to do końca. Po pozbawieniu materializmu wszelkich innych atrybutów prócz uznania obiektywnego bytu materii, autor poddaje i to w wątpliwość.

„...jaką wartość ma samo stwierdzenie — pyta Konrad — że materia istnieje niezależnie od naszej świadomości? Czy klasyczne pojęcie i sformułowania materializmu wytrzymają próbę semantycznej analizy neopozytywistycznej krytyki? Nie przesądzając odpowiedzi stwierdźmy, że próba taka jest konieczna. Jeśli materializm jej się nie podda, przestanie być nauką, a stanie się wyznaniem wiary".

Jak widać Konrad ma wielkie zaufanie do neopozytywistycznej analizy semantycznej. Wobec tego pomóżmy autorowi w dopowiedzeniu do końca tego, co wie, a czego nie chce głośno powiedzieć. W świetle analizy semantycznej neopozytywistycznej krytyki to zagadnienie jest bezsensowne („sinnlos") i Koło Wiedeńskie uznałoby to stanowisko za wyznanie wiary, a nie za naukę. Czy autor jest z tej otwartości zadowolony? Że odpowiedź byłaby właśnie taka, nie ulega wątpliwości, ponieważ idzie tu o zagadnienie wedle kryteriów Szkoły Wiedeńskiej niesprawdzalne Co oznacza jednak poddanie się temu werdyktowi? Pomijam fakt, że mówienie o „sensowności" i „bezsensowności", jak to robią neopozytywiści, jest więcej niż wątpliwej wartości, ponieważ jest uzależnione — jak słusznie wskazał już na to Popper — od dowolnego ustalenia tego, co sensowne. Jest to faktycznie zejście na stanowisko idealizmu. Nie negując bowiem wielkich zasług metodologicznych neopozytywizmu, trudno nie przyznać, że jest on kontynuacją filozoficzną machizmu i że przynajmniej do wojny, mimo odżegnywania się od etykiet, neopozytywiści hołdowali subiektywnemu idealizmowi. Wystarczy przeczytać Franka „Das Kausalgesetz", by się o tym przekonać. W rezultacie więc Konrad, czy tego chciał czy nie, znalazł się w objęciach idealizmu. I tak się zawsze dzieje: gdy się wygania materializm, to oknem wciska się idealizm. Jeśli za tę cenę autor chciałby zbliżyć do marksizmu „totalnych" humanistów, to nie stać marksizmu na jej zapłacenie.

Konrad bardzo zgryźliwie odzywa się na początku artykułu o marksistach, którzy zbyt mocno wiążą się z tekstami klasyków.

„Raz po raz — czytamy — słyszy się nawoływania do tego, by wyjść poza dogmatyczne powtarzanie i talmudyczne komentowanie tekstów, by rozwinąć i uwspółcześnić teorię marksizmu. Jakże często jednak ci, którzy innych nawołują do wypłynięcia na szerokie wody, sami lękliwie pluszczą się u brzegu, spokojni, gdy czują pod nogami grunt klasycznych sformułowań i panicznie obawiający się głębi, która czyha na śmiałka niebezpiecznymi wirami rewizjonizmu".

Podoba mi się to porównanie i chętnie zeń korzystam. Otóż, pływak, który umie dobrze pływać i „pluszcze się u brzegu" w obawie głębi — to tchórz. Ale pływak, który pływa słabo i bez zabezpieczenia rzuca się w głębię pełną wirów — to człowiek niemądry i daleko bardziej szkodliwy niż pierwszy. Nie tylko dlatego, że jest pewność, iż sam utonie, ale pociąga swym przykładem innych słabych pływaków do niepotrzebnego ryzyka, a przechodniów zmusza do tego, by w ubraniu rzucali się do wody dla ratowania go. Gdy się nie umie dobrze pływać lepiej trzymać się bliżej brzegu, aniżeli robić zamieszanie uporczywym rzucaniem się w wiry, z których nie umie się wydostać.

Ustęp zatytułowany „Byt i świadomość" zawiera podobnie zagmatwane wywody na temat rzekomej antynomii między klasowym charakterem marksizmu, a jego pretendowaniem do przedstawicielstwa obiektywnej prawdy. Ale w danym kontekście to są zagadnienia peryferyjne, którym nie możemy poświęcać zbyt dużo miejsca. Przejdźmy więc do właściwego problemu — moralności.

Problem moralności jest centralnym problemem toczącego się sporu o humanizm socjalistyczny. Rewizjonistyczna istota blumowskiego „humanizmu", który poprzez de Mana sięga do wcześniejszych rewizjonistów z końca ubiegłego stulecia, polega na kwestionowaniu klasowego charakteru zasad moralności, na ich absolutyzowaniu. „Kategoryczny imperatyw" Kanta — to właściwie źródło tej mądrości. Normy moralne są absolutne i wynikają z natury ludzkiej, są niezmienne w czasie i w przestrzeni — twierdzą zwolennicy „humanizmu". Stąd prosta droga prowadzi do negacji walki klasowej i sprowadzenia rewolucyjnej istoty marksizmu do „rewolucji moralnej", jak to konsekwentnie robi Blum, i jak to za Blumem powtarza Strzelecki. Socjalizm „umoralniony", bez walki, apelujący do serca i do poczucia moralnego, to nic innego jak socjalizm utopijny redivivus. Tyle tylko, że w nowych warunkach ma on wyraźnie reakcyjny charakter, ponieważ rozbraja rewolucyjną walkę proletariatu. Pod szatą „humanizmu" kryje się tu antyhumanizm, gdyż hamowanie zwycięstwa tego ustroju, który jedyny może stworzyć społeczeństwo humanistyczne (a rozbrajanie proletariatu w jego walce klasowej **jest hamowaniem** realizacji socjalizmu) — jest **antyhumanizmem.**

Rzecz oczywista, że w tej polemice po stronie „humanizmu socjalistycznego" w obronie absolutnej koncepcji moralności stają wszyscy zaprzysiężeni przeciwnicy marksizmu. Tak np. pośrednio włącza się do polemiki „Tygodnik Warszawski" (nr 14, 1947), zahaczając w artykule Jerzego Brauna o zagadnienie humanizmu. Autor opierając swoją koncepcję o zasadę absolutnego prawa moralnego chwali oczywiście de Mana i humanizm socjalistyczny Bluma, który określa jako syntezę personalizmu z socjalizmem.

A co ma do powiedzenia w tej sprawie z punktu widzenia nie talmudycznego „marksizmu" Paweł Konrad? Właściwie nic nowego do powiedzenia nie ma, chyba to, że zasadę absolutnej moralności chciałby przeszmuglować jako marksistowską.

Powtarzam raz jeszcze, można wyznawać poglądy, jakie się chce, ale rzetelność naukowa wymaga, by je właściwie firmować. Występować przeciw marksowskiej zasadzie **klasowej** moralności jako przeciw zasadzie „buszmeńskiej" pod szyldem marksizmu, do tego potrzebne jest duże poczucie pewności siebie. „Nie szukajmy odpowiedzi w cytatach..." — powiada autor. Otóż wcale nie, właśnie szukajmy jej tam! Bo jeśli chcemy rozstrzygnąć zagadnienie, jaka jest **marksowska** koncepcja moralności ,to nie to jest ważne, co sobie o tym zagadnieniu myśli Konrad, ale co o tym myślał Marx, Engels i Lenin oraz ich zwolennicy. W przeciwnym wypadku mielibyśmy do czynienia nie z marksizmem, ale z „konradizmem". A to jednak nie jest to samo. Co o tym zagadnieniu myśleli klasycy marksizmu, to autor mógłby przeczytać w artykule prof. Chałasińskiego. Ku zmartwieniu autora klasycy stali, a za nimi marksiści stoją po dziś dzień na gruncie tej „buszmeńskiej" zasady. Oczywiście, Konrad może się z tym ich stanowiskiem nie zgadzać, ale powinien wówczas wyraźnie zaznaczyć, że mówi w imieniu swoim, a nie Marxa.

„Hołdowanie relatywizmowi w ocenie wartości m. i. moralnych — pisze P. Konrad — posiada złą tradycję. Jest to nurt obcy marksizmowi. Jest to ideologia zdezorientowanych i zdegustowanych schyłkowców. Przypadkowe skrawki marksizmu i teorii względności Einsteina, cudacznie pomieszane i posklejane śliną bezpłodnego cynizmu (dalibóg, nie wiem, o co w tym zdaniu idzie A.S.). Chyba nie inaczej ocenia to Adam Schaff i chyba zgodzi się na to, żeby jego tezę odwrócić i powiedzieć, że interesom klasy robotniczej odpowiada to, co jest społecznie moralne".

Otóż oceniam to **całkiem inaczej** i uważam, że mojej tezy zupełnie odwracać nie trzeba, ponieważ ona i w pierwotnym brzmieniu oznacza identyczność interesu klasy robotniczej z interesem społecznym. Aby wyjaśnić o co tu idzie, należy rozgmatwać niezwykle zagmatwany przez autora problem.

Dlaczego marksizm nie wierzy w wieczyste, absolutne zasady moralne? Dlatego, że przeciw tej tezie przemawia doświadczenie, świadczące o **zmienności** zasad moralnych. Po pierwsze, w czasie, gdy u tych samych ludów to, co było etyczne (np. nakaz zabijania starców lub ułomnych dzieci) staje się w rozwoju historycznym nieetyczne. Po — drugie, w przestrzeni, gdy u różnych ludów jedno i to samo zjawisko może być u jednych zgodne, a u drugich niezgodne z normą moralną (np. nakaz zabijania obcych u pewnych ludów pierwotnych i zakaz zabijania w religiach monoteistycznych) Po trzecie, zmienność normy moralnej w zależności od konkretnych warunków miejsca i czasu (np. kradzież jest czynem niemoralnym, lecz kradzież u Niemców w czasie okupacji była czynem niemal że patriotycznym). Po czwarte, co jest szczególnym przypadkiem poprzedniego, oceny moralne są zmienne w zależności od oceniającej grupy społecznej (np. jeśli w czasie strajku fabrykant wprowadza łamistrajków, a robotnicy odpowiedzą na to sabotażem, unieruchomiając przedsiębiorstwo, to dla kapitalisty jest to czyn amoralny, bandycki, a dla robotników — wysoce moralny).

Czy to jest relatywizm moralny? Owszem, w pewnym sensie jest. Dialektyka zawiera w sobie i relatywizm, choć nie sprowadza się do relatywizmu, uznając istnienie prawdy absolutnej. Oczywiście, nie ma to nic wspólnego z dekadenckim relatywizmem moralnym fin de siècle'u, ale nie ma również nic wspólnego z absolutyzowaniem zasad moralnych, jak to robi autor.

„Kryteria moralności są oczywiście zmienne — pisze Konrad — i społecznie uwarunkowane. Ale uznawać zmienność pewnych wartości, to nie znaczy negować w ogóle ich istnienia".

Po cóż wprowadzać tę niemiłosierną gmatwaninę? Kto i kiedy negował w imieniu marksistów istnienie norm moralnych? Chyba, że autor tylko dla przykrywki uznaje zmienność tych norm, a faktycznie identyfikuje normę moralną z absolutną normą. Że tak właśnie jest, świadczy stanowisko autora wyrażone w jego rozważaniach na temat zła „samego w sobie" itd. Ale dlaczego nie powiedzieć tego wyraźnie, po cóż gmatwać siebie i innych?

Autor pyta, czy np. do zagadnienia zbrodni niemieckich należy podchodzić z punktu widzenia utylitarnego klasy robotniczej. Dowodzi to, że nie rozumie zagadnienia, choć zdaje się było ono postawione jasno. Interes klasy robotniczej, prowadzącej za sobą najszersze masy ludowe jako sojuszników, jest **identyczny** z interesem narodu, z interesem społeczeństwa. Można, oczywiście, sformułowanie odwrócić: w istocie rzeczy nic się przez to nie zmieni.

Nie wiadomo po co autor wiąże z tym zagadnieniem problem reprezentowania przez proletariat najlepszych tradycji przeszłości, problem ciągłości rozwoju. Chyba, aby jeszcze bardziej je zagmatwać. To, co mówi o tym zagadnieniu, jest zupełnie słuszne (ach! ta nieszczęsna mieszanina prawdy i błędu!), ale nie wiąże się z poruszonym tematem. Fakt, że proletariat jest kontynuatorem najlepszych tradycji przeszłości, że jest reprezentantem ciągłości rozwoju i postępu, i przedstawicielem interesów ogromnej większości społeczeństwa, wynika z czegoś zupełnie innego: z faktu, iż proletariat jest klasą przodującą, która nie jest związana swymi interesami z ginącym ustrojem, lecz z obiektywnym rozwojem społecznym.

Stanowisko Konrada byłoby zrozumiałe, gdyby popierał pozycję Strzeleckiego. Nie wiem, czy autor tego chciał, chyba nie, ponieważ przyznaje się przecież do marksizmu, który Strzelecki neguje. O co więc idzie? Chyba o wielkie nieporozumienie, wynikające z nieznajomości przedmiotu. W przeciwnym wypadku należałoby bowiem przyjąć złośliwe przekręcanie zagadnień.

Autor podaje swoje stanowisko za marksizm „bez przyłbicy", z odkrytym obliczem humanistycznym. Faktycznie jednak to, co widzimy za przyłbicą, to nie marksizm. Że to jest marksizm, to tylko złudzenie optyczne autora — tak samo, jak tylko w mniemaniu Konrada marksizm dopiero w walce z faszyzmem odkrył swe oblicze humanistyczne, czy też, że niekiedy... mruży oczy. To są wszystko złudzenia, pochodzące stąd, że autor patrzy na świat przez szkła, które wykrzywiają obraz rzeczywistości.

Adam Schaff

*) Por. „Dyskusja o humanizmie socjalistycznym", „Odrodzenie", nr 130.

STANISŁAW WYGODZKI

BIOGRAFIA

Biograf ciszy i pogromu,
zamarłych ulic i pustkowia
i wichru, który nocą powiał
nad ruinami mego domu,
dziejopis ludzi, butów, sukien
po mych spalonych i po Twoich,
przechodzę rozwalonym brukiem
tym wierszem, co nie uspokoi.

Nieżywi w znanym krajobrazie,
po nocy błądzą, dom ich pierzcha
jak wtedy, gdy uśpieni w gazie
widzieli chwiejny przepływ zmierzchu,
lecz ja zostałem. Jestem domem
i miastem, brukiem, oknem w murze
i wchodzę znowu w ich podwórze,
a cisza bije we mnie gromem.

I jak krajobraz znów odsłonię
nie tylko bramy ich i domy,
lecz także cień, co nieruchomy
przystanął i unosi dłonie
i milcząc łatę swoją żółtą
osłania ręką przed mym ciosem —
ja jestem ciszą i jej głosem,
jak pieśń zerwana i jak półton.

Biograf śmierci i pożogi,
nie tylko ciszę zbieram smutną,
przymierzyć muszę do mej trwogi
ich trwogę, jak skrwawione płótno,
i sobą unieść, dźwigać dalej,
jak oni, gwiazdę swego losu
do komór, dołów i do stosu,
co późną nocą się zapali.

Lecz wiem, że miarą jest znikoma
me serce, ale jeśli zdołam
mą ręką dotknąć węgłów domu,
a bramy wypalonej — czołem,
zostaną w nocy krajobrazu
jak ja — kamieniem, murem, cegłą,
przestrzenią martwą i rozległą,
milczącą biografią głazu.

NAGRODA LITERACKA „ODRODZENIA"

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia". Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Tadeusz Breza za powieść „Mury Jerycha".

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

MARIA DĄBROWSKA, ANNA KOWALSKA, LEON KRUCZKOWSKI, WACŁAW KUBACKI, KAROL KURYLUK, JAN PARANDOWSKI, STANISŁAW PIGOŃ

WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY WYNOSI ZŁ 250 000

WACŁAW KUBACKI

„UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA"

Najgłośniejszemu utworowi scenicznemu Żeromskiego współcześni wytykali nieprawdopodobieństwo artystyczne, a potomni zarzucają fałszywe założenia ideologiczne. Pozornie wygląda to, jakby szczęśliwie uzupełniały się różne punkty widzenia: ocena formalna oraz ideowa. Historia jednak nie jest prostym sumowaniem sądów, uzupełnienia nie powstają mechanicznie; historia tylko ułatwia zmianę punktów widzenia i w ten sposób stwarza warunki wszechstronniejszego rozumienia zjawisk. Nieprawdopodobieństwo było następstwem założeń ideowo-artystycznych. Fałszywy wydźwięk ideologiczny świadczyłby o jakiejś wadzie formalnej, o błędnej zasadzie konstrukcyjnej dzieła. Niezmiernie pociągającym zadaniem byłaby próba wyświetlenia konstrukcyjnych założeń „Przepióreczki"; wydaje mi się, że pozwoli to nie tylko zrozumieć morfologiczną osobliwość dzieła, lecz także wyjaśnić jego ideologiczne powikłania.

Żeromski uczynił Przełęckiego czymś więcej niż głównym bohaterem swej sztuki. To aktor i impressario w jednej osobie. Postać sceniczna obdarzona władzą dramatopisarza w stosunku do innych współbohaterów. Mamy sytuację taką, jakby jedna z lalek została dyrektorem teatru marionetek. Żeromski nie posługuje się komplikacją techniczną, która się nazywa „teatrem w teatrze", a mimo to widz jest świadkiem jakiegoś dwustopniowego widowiska, jakiejś sceny na scenie i gry w grze.

Autor parokrotnie zaznaczył wyjątkową rolę Przełęckiego i jego „teatralizm" przez ironiczne uwagi kolegów. Kleniewicz stwierdza cierpko: „W ogóle nie podoba mi się to burmistrzowanie Przełęckiego. Przybiera tony jakiegoś nad nami rektora czy dziekana". Zabrzeziński powie bez ceremonii z powodu zabiegów Przełęckiego o łaskę księżniczki dla kursów wakacyjnych: „A niech odstawia swoją sztukę. Mogę posłuchać". Ciekocki rzuci Przełęckiemu do oczu, że się szasta i prasta. Wilkosz nazwie go „fircykiem". Nie podobna zapisać tych słów wyłącznie na karb uszczypliwości i zazdrości kolegów. Trzeba przyznać, że charakteryzują one trochę przesadnie, ale zasadniczo trafnie, rolę Przełęckiego w komedii. Podkreślam nie osobę, lecz rolę.

Sam Przełęcki również dopatruje się u innych „gry". Opis zakochania, jaki dała pani Dorota, przekornie zbagatelizuje jako „ćwiczenie na temat zadany, extemporale" — aby ostudzić zapały partnerki, czyni z niej aktorkę! Przełęcki na dobre gra przyjętą rolę w akcie trzecim. Wówczas teatralizm drugiego stopnia, scena na scenie, gra w grze wystąpi wyraźnie. Ton autoironiczny nie powinien nas mylić; z podobną obocznością wypowiedzi pozytywnych i negatywnych, żartobliwych i poważnych, czyli z podobną „ambigicznością" spotkamy się nieraz w tym dziele. Posłuchajmy, w jakim stylu szarżuje Przełęcki: „Nie możemy naszej tutejszej zabawy, mistyfikacji i wakacyjnej dziecinady prezentować człowiekowi, piastującemu wysoki urząd". Albo: „Czyliż koledzy myślą na serio mówić z ekscelencją o farsie, o tym śnie poranku letniego, który tu odgrywaliśmy przed wyjazdem na zamek?" Albo: „Nie bronię przecie i teraz nikomu, żeby snuł ów poemat".

Przełęckiego otacza atmosfera retoryki. Od Ciekockiego usłyszymy, że kolega „peroruje". Gwaroznawca, którego próżność mile połechtał Przełęcki, pyta: „Czy to ja mam ci się wywdzięczyć kontrodą na cześć twoich wykładów?..". Przełęcki na pochwały pani Doroty odpowiada: „Co też to pani za hymny na moją cześć wyśpiewuje". Perory, ody, hymny oto terminy, przy których pomocy wyraża się żartobliwie przesadny charakter i wzniosłość krasomówstwa.

Zarówno wielbicielka jak przeciwnicy uważają Przełęckiego za utalentowanego mówcę, który kieruje ludźmi według swej woli. Pani Dorota jest wręcz zdania, że Przełęcki rzuca uroki: „Pan ma taką siłę, jaką miewali prorocy, apostołowie, święci mężowie..." „Duch potężny mieszka w panu i spływa na ludzi..." „Profesorowie, których pan tutaj zgromadził — czyliż nie są dowodem pańskiej władzy duchowej?" Przełęcki ma oddanych, zapalonych jego żarem uczniów: „Pan jest ich bożyszczem. Bo pan wyciągnął swe ręce nad nimi i duch mocny z rąk pańskich na nich spłynął".

Kleniewicz wierzy w niezawodny skutek „wymowy": „Trzeba wysokiego przybysza z miejsca ogłuszyć". Małowieski ma pełne zaufanie do oratorskich talentów Przełęckiego: „Kolega Przełęcki rozwinie w całym blasku wielką ideę porębiańskiego zamku, wysnuje plan wielkiego dzieła, sprecyzuje przede wszystkim swe zamierzenia, potem..." Od zachwytów Smugoniowej nad apostolską władzą Przełęckiego przeszliśmy do żartobliwej pochwały wymowy Przełęckiego; Małowieski daje przy tej sposobności próbkę szumno pustego stylu krasomówczego, co w kontekście wychodzi na krytykę mownego Przełęckiego... Nie koniec na tym. Smugoń zaczyna negatywną serię pochwał wykrzyknikiem „Przeklęty uwodzicielu!" Bukański wypomni bohaterowi: „Coś tu wygadywał, deklamatorze?" Ciekocki oskarży: „Gadałeś tu, ile wlezie, od świtu do nocy. Obnosiłeś tu ideały. Chciałeś być sercem dzwonu. Tyś tu w nas dzwonił. Podniecałeś nas, gdyż jakoby byliśmy za mało podnieceni". Rozczarowana Smugoniowa dziwi się: „To jest ten sam człowiek, który nas tu tak olśniewał!" Małowieski dumnie zapewni odchodzącego Przełęckiego: „I bez twoich kazań damy sobie radę".

2

Prorok, apostoł, bożyszcze, uwodziciel, deklamator, serce dzwonu, fascynator, kaznodzieja — ta wiązanka określeń, z których jedne są pochwałami, a drugie przedrzeźnianiem tytułów sławy Przełęckiego, pozwala mówić o przeniesieniu krasomówcy na scenę, o wyzyskaniu przez Żeromskiego dla celów teatralnych pewnych charakterystycznych cech retoryki. Poetyka wymowy dawno zauważyła podobieństwo między retoryką i teatrem, mówcą i aktorem. Analityczny, indukcyjny tok mówcy przypomina zadzierzgiwanie intrygi i wzmaganie napięcia wśród słuchaczy. Myślenie mówcy to jakby utajona rozmowa z publicznością, odtwarzany fikcyjny dialog pełen zaskoczeń, niespodzianek, uprzedzania mogących powstać zastrzeżeń i parowania przypuszczalnych zarzutów. Jest to skrót dramatycznego starcia się z przeciwnikiem. Symboliczną pozostałością po fechtunku, odbywającym się w idealnej przestrzeni i na idealną broń, są ruchy ciała i gesty trybuna.

Mówca jest urodzonym wodzem. W starożytności była zresztą wymowa potrzebna każdemu wybitnemu strategowi w nie mniejszym stopniu niż studia i doświadczenie ściśle wojskowe. Przemówiłem,zapaliłem, pobiłem — mógł był napisać równie dobrze Ksenofont, Epaminondas, co Cezar. Mówcę cechuje zdolność improwizacji czyli zdolność inscenizowania myśli i uczuć bez przygotowań oraz upajanie się swą rolą wobec słuchaczy. Mamy w tym wyraźny pierwiastek gry. Przesada krasomówcza jest refleksem tłumu, to niby zwielokrotnienie mówcy przez publiczność, to jakby odpowiednik teatralnego koturnu i maski. Mówca działa na uczucie, dlatego ważniejsze są dlań moc i blask słowa niż siła argumentów (por. Ewald Geissler, „Rhetorik", cz. II).

Podana tutaj ogólna charakterystyka mówcy tłumaczy urok i powodzenie Przełęckiego, a częściowo także retoryczny rodowód tej postaci. Żeromski sugeruje niezwykłość swego bohatera opowiadając zachwyty słuchaczy, czyli przedstawia jego aspekt krasomówczo-społeczny, echa socjalne, legendę. Poprzedzony famą zjawia się wreszcie Przełęcki na scenie i zaczyna mówić. Otrzymał on od autora przywilej efektownego wypowiadania swych myśli. Posłuchajmy, jak się wyraża ów mag, apostoł i uwodziciel: „Czy to nie jest zaprawdę szczyt, zenit nauki wykazać takiemu z Czarnkowa, który już ze czterysta lat leży sobie na cmentarzu, w którym miejscu skłamał, a nawet dlaczego?" O wykładowcach wakacyjnych kursów powie: „Przecież to jest elita! Kamień by zaczął słuchać, gdyby miał uszy, paskarz by się rozkliwił". Szczyt, zenit nauki... kamień by zaczął słuchać... Raczej przykład to na banał retoryczny niż na wymowę. Dość wątpliwym efektem jest odpowiedź na życzenie księżniczki, żeby powiedziano coś nowego: „Nowego! Oczywiście! Nowego! „Dalej z posad bryło świata, nowymi cię pchniemy tory!" Trudno się bawić konceptem o Galileuszu lub zachwycać dowcipem, że nikt nie będzie staremu i wysokiemu zamkowi, pokrytemu papą, w papę zaglądał. A oto próbka patosu ironicznego: „Są konie do rozporządzenia. Pomknięcie, jako huragan zbiorowych uczuć należnych — i zdążycie". Za doskonały przykład krasomówczego działania na uczucie, z pominięciem rozumu lub choćby rozsądku, można uważać ciekawy okres o poprzedniku, który jest rozwiniętym podmiotem: „W dzisiejszych czasach, gdy taki brak pomieszczeń, trzymać w ruinie podobne mury, potężne ściany, których najstraszliwsze orkany zgryźć nie mogły, najdłuższe zimy rozwalić — te miliardy cegieł marnować, trzymać pustką ogromne wieże, sklepienia, sienie. To zbrodnia". Żeromski kompromituje ten sposób dowodzenia przez usta praktycznego administratora Bęczkowskiego. Ponieważ jednak przy końcu słyszymy, że ruinę będą odbudowywać, wygląda to na tryumf retoryki.

W sztuce nie brak też kiepskiego stylu oratorskiego. Księżniczka jest jedną z tłumu oczarowanych wymową Przełęckiego, słowa jej tedy chyba można uważać za echo wykładów. Żeromski każe jej przemawiać językiem odczytów oświatowych: „Miała się tu rozpalić pochodnia nowego życia. Miała się tu zacząć ta głęboka orka, która da wiedzę i chleb wszystkim".

3

Z dotychczasowych rozważań można już wyciągnąć pewne wnioski, które rzucą trochę światła na interpretacyjne kłopoty badaczy i realizatorów scenicznych Żeromskiego. Nie wolno poprzestać na stwierdzeniu, że zagadnienie „Przepióreczki" jest tylko pozornie społeczne, a w gruncie rzeczy indywidualistyczne, gdyż wszystko tutaj zostało postawione na kaprysie jednej kobiety i podparte osobistym urokiem jednego mężczyzny. Niebezpiecznie jest też mówić o romantyzmie utworu, albowiem poza mistyczno-ewangelicznymi formułkami Smugoniowej nie trudno dostrzec młodopolską sublimację płci. Ważny jest wybór takiego środka wyrazu scenicznego, który

Mało znana i prawdopodobnie niereprodukowana podobizna Stefana Żeromskiego, zrobiona ok. 1894 roku w Raperswilu przez Stanisława Wrzoska. Własność W. Kubackiego

pozwolił na pewne pogodzenie obu tendencji: indywidualistycznej i społecznej.

Jest nim krasomówcze wodzostwo Przełęckiego. Retoryka jako chwyt sceniczny ułatwiła obiektywizację zarówno tezy romantycznej o „rządzie dusz", jak pozytywistycznej o „apostolstwie" społeczno-oświatowym. Retoryka jednocześnie umożliwia w pewnym sensie przezwyciężenie indywidualizmu lub zamaskowanie. (Zamaskowanie to jakby negatywne przezwyciężenie, to dowód, że pisarz wstydzi się swego rzeczywistego stanowiska). Dopełnieniem mówcy, co więcej, warunkiem jego działalności jest tłum słuchaczy. Ten tłum go uskrzydla, potęguje jego indywidualistyczne poczucie władzy. Socjalny składnik krasomówstwa jest także hamulcem indywidualistycznych przerostów, sprawdzianem wartości, jakie głosi mówca. Ambigiczny charakter wymowy występuje wyraźnie w jej składniku społecznym: tłum słuchaczy zarówno narzuca pewne rygory, jak ułatwia rozpętanie namiętności, daje mówcy polot i zmusza go do uproszczania spraw i zagadnień.

Ta dwoista funkcja retoryki stanowi nie lada przynętę dla dramaturga. Żeromski świadomie korzysta z tych ułatwień technicznych, a nawet pada ich ofiarą, o czym będzie mowa w dalszym ciągu. Przełęcki jest pozornie drugim Judymem. Jest to jednak Judym ibsenowski, Judym postawiony wobec gromady ludzkiej, a nawet Judym sięgający po społeczne narzędzie działania. Inny jest również stosunek autora do obu postaci. Na parodię odczyniania uroków miłosnych — apostolskie wkładanie rąk, o czym mówiła pani Dorota, przemieniło się w gesty magnetyzera z erotycznym podkładem — nie było miejsca w „Ludziach bezdomnych". Heroikomiczny ton „Przepióreczki" oczyszcza atmosferę dzieła. Społecznik Przełęcki nie tylko realizuje niektóre myśli Żeromskiego, lecz także przez komediową obiektywizację pozwala twórcy uwolnić się od kompleksu działacza. Retor z całym dobrodziejstwem inwentarza w umiłowanej roli oświatowca, to był nie lada gest samoobrony! Ostatecznie po odejściu Przełęckiego Porębiany się nie zawalą i kursy się nie rozlecą, tylko kruche podstawy indywidualne całej akcji zostaną prawdopodobnie zastąpione przez trwalsze fundamenty.

4

Był okres, kiedy historycy sztuki nie doceniali znaczenia techniki, nie rozumieli doniosłej roli, jaką gra w kształtowaniu dzieł ich wewnętrzna logika techniczno-artystyczna. Sławny odkrywca i badacz antyku w XVIII wieku. Winkkelmann, sądził, że marmurowy Laokoon ma dlatego niezbyt szeroko otwarte usta, wbrew temu, co o jego pod niebo wzniesionym krzyku opowiada Wergiliusz, że starożytny rzeźbiarz chciał przedstawić siłę i wielkość ducha swego bohatera. Lessing wykazał, że stało się to bynajmniej nie z powodów moralnych, w tym wypadku zewnętrznych, lecz na skutek determinantów wewnętrznych, ze względów techniczno-artystycznych.

Podobnie ma się sprawa z „Przepióreczką". Moralno-społeczny wydźwięk tego dzieła budzi zastrzeżenia. Wobec czego rewiduje się ideologię utworu. Ja wybieram metodę odmienną: stwierdzam dialektyczno-retoryczną konstrukcję „Przepióreczki" i będę się starał pokazać artystyczno-ideowe następstwa tego faktu podstawowego. Na tej drodze można prześledzić, jak się obiektywizują założenia ideologiczne i jak użycie pewnych środków artystyczno-technicznych determinuje pisarza i dzieło.

Jeśli „przewód myślowy" „Przepióreczki" nie zadowala naszych wymagań, a nie trudno o to w epoce wzmożonej czujności myśli i w ogóle pewnej mody na racjonalizm, to do tradycyjnego usprawiedliwienia, że dzieło sztuki nie jest traktatem, trzeba dodać dalszą dyspensę: zadaniem retoryki jest przekonywać, a nie dowodzić. Potęga mówcy wcale nie polega na sile argumentów i poprawności rozumowania. Dowcipnie ujął to Jan Śniadecki, pisząc w szkicu „O literaturze": „Arystoteles zasadza wymowę na mocy dowodów; w takim znaczeniu ściśle wziętym Geometria Euklidesa byłaby dziełem najwymowniejszym". („Pisma rozmaite", Wilno, 1818, III, 149); szkoda tylko, że uczony astronom przypisał Arystotelesowi pogląd, o którym temu filozofowi nigdy się nie śniło. Stagiryta w dziele o wymowie piszę, że dialektyka i retoryka zajmują się rzeczami, które w pewien sposób wszyscy mogą poznać, ale które nie należą do wiedzy ścisłej (I, 1).

Dla zrozumienia dialektyczno-retorycznego charakteru „Przepióreczki" przyda się przypomnienie niektórych myśli, rozwiniętych w „Topice" i „Retoryce" Arystotelesa (cytuję według paryskiego wydania z 1862 r. „Aristotilis opera omnia graece et latine" t. I.). Dialektyka jest pożyteczna, bo ucząc roztrząsania zagadnień z obu stron, zajmowania stanowiska za i przeciw („in utramque partem disputare"), pozwala w poszczególnych wypadkach łatwiej zorientować się w prawdzie i błędzie („Topicorum" I, 2). Propozycją dialektyczną nie może być zdanie, uznane przez wszystkich za oczywiście prawdziwe lub widocznie fałszywe. Nie pewność, lecz prawdopodobieństwo, „probabilitas", należy do fachu dialektyka; a także, dodajmy od siebie, moralisty i pisarza. Arystoteles uznaje różne stopnie prawdopodobieństwa ze względu na forum, byle propozycja nie kłóciła się rażąco z utartymi poglądami (I, 8). Filozof odróżnia problemy dialektyczne o charakterze czysto teoretycznym od problemów o charakterze praktycznym, mogącym wpływać na życie (I, 9). W „Retoryce" czytamy, że ze wszystkich dyscyplin tylko dialektyka i retoryka mogą wyciągać z tych samych przesłanek wnioski sprzeczne; jest to niejako ich właściwością (I, 1); Arystoteles powiada, że słusznie odwracali się ludzie od tego, co głosił Protagoras, albowiem nie było to prawdą, lecz kłamstwem, wydawało się podobne do prawdy i nie miało znaczenia w żadnej sztuce poza krasomówstwem i sztuką dowodzenia („neque in ulla arte valens praeterquam in rhetorica et eristica", II, 24). Arystoteles jasno zdaje sobie sprawę, że ambigiczny charakter retoryki może stać się powodem nadużyć, dlatego wykłada tajemnice tej sztuki niejako zapobiegawczo. Nie otrzymujemy natomiast wystarczającej odpowiedzi na pytanie, w jakich granicach może się obracać ta niepokojąca „ambigiczność" W „Topice" mamy normy zdrowego rozsądku i praw państwowych, a w „Retoryce" spotykamy nadto pomocnicze pojęcie „natury" rzeczy. Nie są to kryteria pewne i stałe.

Nic tedy dziwnego, że podręczniki wymowy kładą duży nacisk na obyczajność mówcy, albowiem jedynie obyczajność retora może nas zabezpieczyć przed nadużyciami tej niebezpiecznej sztuki. Kwintylian był zdania, że zła trzeba szukać nie w wymowie, lecz w człowieku („Non artis sed hominis est vitium"); coś jednak z tego „zła" tkwi chyba także w samej ars! Pliniusz Młodszy radził oddać młodzieńca na naukę do takiego mistrza, u którego by najpierw przyswoił sobie dobre obyczaje, a potem zasady wymowy, albowiem bez obyczajności na marne pójdzie całe studium („quae male sine moribus discitur". „Epistolae" III, 3). Grzegorz Piramowicz za motto do dzieła „Wymowa i poezja dla szkół narodowych" wybrał zdania z autorów starożytnych, twierdzących, że prawość mówcy jest ważniejsza od wymowy. Podkreśla się w ten sposób, nawet negatywnie, indywidualistyczny, relatywistyczny charakter sztuki przekonywania..

5

Wspomniałem, że prawdopodobieństwo, albo zachowując termin scholastyczno-kazuistyczny, „probabilitas", należy do fachu nie tylko dialektyka lecz także każdego moralisty, psychologa i socjologa. Tym samym „probabilitas" wchodzi w zakres pisarstwa we wszystkich jego najważniejszych odmianach. Nie będę dodawał, że rozwój literatury zmierza do coraz większego rozciągania i wysubtelniania granic „probabilitas" psychologicznej, moralnej i filozoficznej. Analityk pojęć dzieli problemy dialektyczne na czysto teoretyczne i praktyczne. Dla pisarza zaś wszystkie problemy są teoretyczne, bo literatura jest światem konstrukcji. Nierozwiązalność niektórych zagadnień, formułowanych w dziełach literackich, pochodzi stąd, że dystynkcja Arystotelesa nie odnosi się do twórczości artystycznej. W literaturze wszystko dzieje się w jednym wymiarze, gdzie wszystkie zagadnienia, nawet najbardziej praktyczne i życiowe, nabierają charakteru jakby teoretycznego.

W „Poetyce" kreśli Arystoteles paralelę między sztuką krasomówczą i dramatyczną: „To, co odnosi się do myśli, będzie pomieszczone w wykładach o retoryce, bo to odnosi się raczej do tamtego zakresu badań. Należy zaś do myśli to, co ma być osiągnięte przez mowę, której zadaniami są: dowodzenie i zbijanie, tudzież wywoływanie afektów, jak litość czy trwoga, czy gniew i tym podobne; wreszcie powiększanie i pomniejszanie rzeczy. Oczywiście i w akcji należy trzymać się tych samych punktów widzenia, gdy się ma wzbudzić litość czy grozę, czy poczucie wielkości czy prawdopodobieństwa. Różnica leży w tym, że w akcji musi się to przejawiać bez pouczania słowem, gdy w mowie wywołuje to sam mówiący i jest to wynikiem mowy" (XIX, 1). Zestawienie to nie obce także Cyceronowi („De oratore", III, 22).

Mniejsza z tym, że według starożytnego teoretyka cała różnica między retoryką i dramaturgią sprowadza się do tego, że mówca działa słowem, a dramaturg akcją. Dla nas jest to sprawa bardziej skomplikowana. Akcja dramatyczna dzieje się również przy pomocy słów; wymowa zaś jest także pewnego rodzaju akcją i to nie tylko w sensie cycerońskim, jako głos i gest („Ad Brutum Orator", XVII). Ważniejszy jest inny punkt zbliżenia mówcy i dramaturga: „powiększanie i pomniejszanie rzeczy" oraz „wzbudzanie poczucia prawdopodobieństwa" (zamiast przedstawiania „prawdy"). Prawdopodobieństwo sceniczne to popularnie zwana iluzja życia. Prawdopodobieństwo jako zasada mówcy to pozór prawdy. Wzmianka o powiększaniu i pomniejszaniu rzeczy nie zostawia wątpliwości, dokąd nas wiedzie Arystotelesowskie zestawienie sztuki krasomówczej i dramatycznej. Jest to przecież sławna zasada Gorgiasza z Leontinoi, według którego dobry mówca potrafi czynić rzeczy duże z małych i drobne z wielkich. Okazuje się, że od sztuki dramatycznej i krasomówstwa nie daleko do sofistyki. Istotnie badacze wymowy starożytnej wiążą rozwój retoryki ze sceptycyzmem poznawczym, z głoszoną przez Ksenofanesa i Heraklita względnością poznania. „Iluzja — pisze Jerzy Kowalski — mieściła się w wymowie całkiem naturalnie, gdyż nie szło o dowód, bo ten należał do dialektyki, ale o prawdopodobieństwo, które w psychologicznym sensie jest dowodem tj. nim być wydaje się, a to wystarcza do przekonania kogoś lub nakłonienia". Wymowa w oparciu o krytykę poznania doszła na drodze doświadczalnej do odkrycia psychologii tłumu. (Wstęp do „Wyboru mów Demostenesa" w „Bibliotece Narodowej", str. 15—17).

6

Z lekka przez teoretyków zaznaczone predyspozycje wymowy i dramaturgii do pewnej, nie koniecznie w złym tego słowa znaczeniu, sofistyki występują wcale jaskrawo w „Przepióreczce". Wskazywałem na to, iż Żeromski pomyślał Przełęckiego jako aktora i mówcę. Jest to właśnie wspomniany paralelizm arystotelesowski. Obecnie przystępuję do przedstawienia dalszego ogniwa: Przełęcki jako mówca sofistyczny. Zacznijmy od komediowych personaliów: Przełęcki jest docentem fizyki i nazywają go „hołdownikiem Einsteina". Mamy zatem jakby nowoczesne wcielenie względności poznania! Sławny pewnik Protagorasa, że człowiek, czyli jednostka, jest miarą rzeczy, można by odnaleźć w żartobliwym stwierdzeniu potęgi krasomówczej Przełęckiego: „Otóż i jestem wszechwładnym monarchą, który według swego widzenia rzeczy, według kaprysu, może kazać, co tylko chce". Smugoń w gniewie nazywa Przełęckiego „znakomitym kuglarzem, świetnym apostołem frazesów o względności wszystkiego". Radostowiec strofuje Przełęckiego: „Kolego Edwardzie! Nie macie prawa tak mówić, bo to są nędzne sofizmaty", a wreszcie wybucha sarkastycznie: „Na innego chcesz się przesiąść konika. No, to jazda!".

Mamy również w „Przepióreczce" pewną sofisterię problemową i sytuacyjną. Dobra akcja Przełęckiego sprowadza złe skutki. Kursy oświatowe zagrażają małżeńskiemu szczęściu Smugonia. Pani Dorota oskarża Przełęckiego, że otwierając jej oczy na wyższe wartości, zakłócił jej spokój ducha. Odwieczny to pierworodny grzech oświaty i kultury. Ten uczuciowy sofizmat ma dobrą tradycję literacko-kulturalną od Rousseau'a do Nietzschego. Tak oskarżał swego wychowawcę bohater Mickiewicza:

Starcze! a gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś! Ty mnie nauczyłeś czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś... i rajem!
A to jest tylko ziemia!

Z kolei o to samo oskarżył Mickiewicza bohater Prusa! Podobną problematykę moralną spotykamy w „Disciple" Bourgeta.

Żeromski zrobił z tego tradycyjnego motywu element gry: formułuje go prostoduszny Smugoń („Wartość skutku świadczy o wartości przyczyny"), a Przełęcki podejmuje go świadomie jako celowy chwyt sofistyczny, żeby ukryć przed kolegami prawdziwe przyczyny swego odejścia. Tu znowu nasuwa się zestawienie z Judymem. Kto wie, czy pokrewieństwo obu tych postaci nie polega po prostu na swego rodzaju sofisterii społeczno-moralnej, bez której nie byłoby ich dramatów?

Popisową partią Przełęckiego jest akt III: odkochanie pani Doroty i zerwanie z kursami. Jest to, formalnie sprawę traktując, najbardziej sofistyczna część „Przepióreczki". Klasyczny to wręcz przykład na „in utramque partem disputare", na wysoką sprawność dialektyczną, na umiejętność wygłoszenia mowy obrończej i oskarżycielskiej w tej samej sprawie. Według Cycerona umiejętność rozprawiania trybem arystotelicznym o każdej rzeczy za i przeciw („de omnibus rebus in utramque sententiam"), wygłaszania dwu przeciwnych mów w każdej sprawie („in omni causa duas contrarias orationes... explicare"), albo zdolność wzorem Arkezylaosa i Karneadesa (przedstawiciele filozoficznego sceptycyzmu!) zbijania każdej postawionej tezy daje patent na prawdziwego, doskonałego i wyborowego mówcę („De oratore", III, 21).

7

Żeromski wyzyskał tę retoryczno-sofistyczną możliwość dla celów dramatycznych. Użycie jednak tego środka zemściło się nieprzyjemnym wydźwiękiem moralnym. System wartości wydaje się być w ten sposób uzależniony od biegłości w dysputowaniu i od zręczności przekonywania. Żeromski każe wprawdzie odpokutować Przełęckiemu świetny talent dialektyczny szczęściem osobistym; narzędziem kary ściśle według klasycznej poetyki staje się to, co stanowiło źródło jego tryumfów: wymowa, której się oprzeć nie podobna. „Rozum, który mi wciąż łaskawie przypisujecie wszyscy — Przełęcki wyznaje z goryczą Smugoniowi — stał się moim tyranem, mści się na mnie. Mam oto — spojrzyj pan! — wykonać naraz dwie prace: mam sprawić, żeby pańska żona pana na nowo pokochała taką samą miłością, jaką dawniej żywiła. To jedno. A z drugiej strony mam sprawić, żeby do mnie właśnie nabrała obrzydzenia, wstrętu, pogardy. To jest drugie". Jak widzimy także rys samoudręki, pastwienie się nad

sobą bohatera, słowem typowa „żeromszczyzna“ ujawniła się dzięki retorycznej formie dzieła!

Mimo to brak w tej sztuce katharsis. Klęska bohatera winna być zrekompensowana jego zwycięstwem idealnym. Tymczasem tutaj klęska i kara są pozorne, w gruncie rzeczy bowiem klęska Przełęckiego, jako kochanka i oświatowca, jest zwycięstwem Przełęckiego jako mówcy. Rekompensata idealna zostaje w cieniu wobec rekompensaty konkretnej, doraźnej, jaką jest zadowolenie z niezawodności sztuki przekonywania. Dlatego Przełęcki schodzi ze sceny jako tryumfator. Odkochawszy panią Dorotę rzuca dumne wyzwanie Smugoniowi: „A jeśliby ustał albo psuł, o niewiadomej godzinie przyjdę i zabiorę tę kobietę jak swoją“. Domyślamy się, że wówczas Przełęcki wygłosiłby popisową mowę pro domo sua. Klęskę prawdziwą ponieśli Smugoń i Smugoniowa. Smugoń z łaski mówcy otrzymał z powrotem żonę (z klauzulą wszakże przepadłości!), a Smugoniowa stała się przedmiotem doświadczalnym krasomówczej sprawności docenta fizyki. Sztuka „hołdownika Einsteina“ pozbawiła ją elementarnego prawa człowieczeństwa: stanowienia o swym losie, wyboru.

W świecie, w którym rządzi krasomówstwo, nie ma stałych wartości i obiektywnych miar. Nie ma też w tym świecie miejsca dla ludzi. Nie ma partnerów — nie ma równych szans — i dlatego nie mogą się w nim dziać prawdziwe tragedie. Teatr dramatyczny spada tutaj do roli teatru marionetek. Takie są następstwa retoryki przeniesionej do obcej sobie sfery dramatycznej, do dziedziny, w której pasują się żywi ludzie i ścierają najwyższe wartości moralne.

Dialektyk może wszechstronnie oświetlać zagadnienie dobra i zła; nie wolno mu jednak doprowadzić do moralnej dwuznaczności. „Probabilitas“ jest narzędziem pisarza; narzędzie nie może się buntować przeciw artyście. Przekonanie kogoś wymaga pewnej sprawności; sprawność ta jednak musi być dyskretna, żeby nie poderwać naszej wiary w bezwzględne przekonanie samego mówcy. Tylko ten zdolny jest naprawdę przekonać, kto sam jest głęboko przeświadczony. Tryumf Przełęckiego-mówcy jest klęską Przełęckiego-pedagoga i działacza. Widocznie niezbyt głęboko sięgał czar jego słów, o którym tyleśmy się nasłuchali, skoro go tak snadno mógł potem rozwiać. Wpływ mówcy mierzy się trwałością przekonania słuchaczy. Tym lepszy mówca, im trudniej przychodzi wzruszyć raz ugruntowane przezeń zasady.

Sytuację moralną w „Przepółreczce“ ratuje to, że Przełęcki zdecydował się użyć wymowy w dobrej sprawie, a nawet heroicznie, bo przeciw sobie samemu, że umiał się poświęcić, że słowem takie były jego „obyczaje“. Nie na próżno Cycero, Kwintylian i Pliniusz podnosili „mores“ mówcy, jako fundament prawdziwej, dobrej wymowy! Relatywizm indywidualistycznej moralności „Przepółreczki“ został mimowolnie odsłoniony także dzięki temu, że zastosowano chwyt retoryczny w dramaturgii.

Wacław Kubacki

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ

Nr 3 „NOWE DROGI“

Dwumiesięcznik Społeczno - Polityczny

WYDAWNICTWO KC PPR.

Warunki prenumeraty od 1-go maja r. b.
Rocznie 450.— zł. Półrocznie 250.— zł.
Cena pojedynczego egzemplarza: 90.— zł.

K.164-1

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Al. Stalina 17 (Al. Róż 2) Tel. 87-127

KONTO CZEKOWE P.K.O Nr 1-4509

»W okresie tym balansowaliśmy między życiem a śmiercią. Nigdy jednak nie opuszczała nas, mieszkańców okupowanej, lecz walczącej Polski, wiara w słuszność walki, wiara w słuszność naszej sprawy i w ostateczne zwycięstwo«.

IGNACY NARBUTT

„LUDZIE I WYDARZENIA“

Przedmowa
U źródeł walki zbrojnej z okupantem
Zapiski
Z księgi narodzin terroru
Perspektywy rozwoju
Serce gorejące
O klęsce wrześniowej
Odpowiedzialność za powstanie

K 173—I

Str. 118 Cena zł 150

Spółdzielnia Wydawn. „Książka“

ZBIGNIEW GRABOWSKI

ZAMEK I RZEKA*)

1.

Oto rzeka, iryzująca w słońcu, kościół nad rzeką, wybiegający grobami, z których zapadły się jedne a ostały na powierzchni drugie; płyty grobowe spękały podłużnie i poprzecznie, rozwidliły się na nich rysy w osobliwe znaki czasu— nazwiska, daty, słowa miłości i przywiązania wytarły się, spłaszczyły, wsiąkły po prostu w kamień. Czas począł kreślić swoje nazwy, swoje wzory, kapryśne nieraz i niezrozumiałe. Powtykał mech między wersety z Pisma świętego, rozłupał wiersze pamięci.

Ale jest zbyt wiosennie, by myśleć nadmiernie długo o tych sprawach, na brzegu zbyt zielono, na rzece zbyt gwarno. Witraże kościoła sieją barwę, łąka naprzeciwko iskrzy się, most na Avonie roi się ludźmi. Patrzę na czyjąś sylwetkę nad rzeką i wierzę w życie.

* * *

Posuwa się wolno łódź w dół rzeki, minęła most, który nakrył ją na chwilę cieniem, nurknęła w zieloną odnogę. Jest jeszcze wcześnie, niedziela, nikomu z Anglików nie kwapi się tak rano do wiosłowania. Rzeka jest dla jednej łodzi, która wyrwała się pierwsza.

Wykwintne są te domy nad Avonem, ogrody spadające, nie, spływające do rzeki, do pomostów schludnych i zgrabnych; dostatni jest plusz trawników, ślicznie rozplanowane klomby. Pięknie tu i pusto. Nikt nie mieszka bodaj w tych rezydencjach, okna są ślepe, werandy ciemne, nierzadko okiennice zabite na głucho. Ileż radości mogłoby brzmieć w tych ogrodach, w tych rezerwatach sytego bogactwa, gdyby oddano te ogrody dzieciom, niedokrewnym dzieciom miast. Ale może i dzieci nie ma za wiele, może nie ma ich na rozrzucenie po tych wszystkich paradnych domach, gdzie zbyt drobna garstka ludzi, albo zgoła pojedyncze okazy ludzkie, nudzą się sobie i światu, patrzą pustymi oczyma nad puste płachty gazet, drzemią w starczym śnie, gdzie wątek myśli rwie się jak kiepski film. Ta rewia piękna nasuwa jakieś przekorne i radykalne myśli, że jednak bogactwo Anglii leży bardzo odłogiem.

* * *

Jest najbardziej autentyczne południe wiosenne, a na tarasie gospody nad rzeką popija się do słońca kolorowe trunki. W barze wydziera się gramofon, brzęczą szklanki, cienkie piwo rzuca jasne, bursztynowe plamy na obrusy, wszyscy są dzisiaj wymowni i życzliwi. Słońce grzeje nie od parady, baszta na tyle szekspirowskiego teatru występuje w tej chwili wyraziście obrysowana z tła zieleni; jej cegła jest o parę tonów ciemniejsza, a o ileż tonów dostojniejsza od cegieł nowiutkiego teatru, który przywodzi na pamięć budownictwo Skandynawii.

Nie brakuje niczego do szczęścia: ani chmur pierzastych jak łabędzie, ani łabędzi sunących rzeką jak chmury. Parapet gospody jest ciepły od słońca, dobra radość pulsuje w przegubach rąk, jest się znowu upojonym światem, tym nienasyconym światem, który leczy i koi, powala swoim pięknem i każe podźwignąć oczy, gdy stłoczy je smutek.

* * *

Ze sceny stratfordzkiej dudnią słowa szekspirowskiego dramatu, dramatu krwawego, czerwonego od krwi i pychy. Ryszard II skarży się na podeptanie majestatu; czujemy, że to twórca sztuki boleje nad rzuceniem w proch korony królewskiej. Szekspir — legalista, Szekspir, mający jak każdy człowiek renesansu poczucie hierarchii, cześć dla władzy — zwłaszcza dla władzy mocnej i dumnej — najwidoczniej nie pochwala niedoli i poniżenia monarchy.

Słuchając słów biegnących ze sceny, chodząc po werandzie, która obwiodła teatr Szekspira, myślimy o tej osobliwej magii, którą zgromadziły wieki wokoło elżbietańskiego dramaturga. Wielki lounge patrzy na wieczorną rzekę przestronnymi szybami, na których skroplił się zmierzch. Czymże jest w istocie Szekspir: ile jest z niego samego a ile z nas w jego dziełach? Skupił on i zebrał skrzętnie surowce rozrzucone po starych kronikach, pozgarniał historie i opowiadania, powłączał te i inne wersje, i oto powstały jego dramaty, niekiedy osobliwie niedbałe w budowie, klecone najwyraźniej w pośpiechu. Ale z czasem zapomniano o przypadkowym nieraz budulcu, o zapożyczeniach i długach, o bezceremonialnej kompilacji. Gloria wieku chwały Anglii padła na jego dramaty, echa ery bogactwa, radości życia, rozrzutnej zmysłowości i ukochania piękna otoczyły jego dzieła. Dla Anglików Szekspir pełen namiętności, pasji, okrucieństwa, głosów żądzy, stał się jak gdyby tajnym grzechem, do którego lubią wracać. Przypomina im bowiem Anglię namiętną, nieugłaskaną, Anglię konkwistadorów, Anglię, która stała się w miarę postępu czasu bardziej opanowana, kulturalna, powściągliwa.

Każde pokolenie dodawało do Szekspira swoje wzruszenia, komentarze, nasyciło każdą niemal strofę swoim ujęciem i swoją atmosferą; słowa Szekspira weszły w tok mowy, zakradły się do aforyzmów życia codziennego. Wiersze jego wzięły w siebie aktualność polityczną rozmaitych epok, podkładano pod nie wszelakie znaczenia jak pod wersety Pisma św. I tak się stało, że nie sposób przeciągnąć dzisiaj linii podziału pomiędzy rdzennym brzmieniem jego słów a tym wszystkim, co się wokół nich nazbierało. Hamlet urzekał młode umysły, powodował samobójstwa, jego dzieje stały się symbolem, wypełniły się po brzegi ludzką myślą i ciągle odnawianą niepewnością. Ta fala ludzkiego zaciekawienia, fakt, że za Szekspirem stał potężny język angielski, język światowego narodu, sprawiły, że stanowisko Szekspira zostało wywyższone może ponad miarę i zasługę jego geniuszu. Jako artystę, myśliciela, dystansuje Szekspira wielu geniuszów literatury, ale on właśnie potrafił przez umiejętne sprzężenie pasji i melodramatu, łez i śmiechu, aforyzmów i dosadnych sformułowań stworzyć rodzaj szczególnie sugestywny i przemawiający do wyobraźni. Niewątpliwie jednak Szekspir wyniesiony został z epoki elżbietańskiej, która kipiała od talentów, falą szczęścia i utrzymał się na powierzchni sławy w dużej mierze przez to właśnie, że umiał w jakiś tajemniczy sposób związać się z tylu fluidami uczuć. I słuchając dzisiaj Szekspira nie wiemy doprawdy, czy słuchamy jego właściwego głosu, czy też dochodzi on do nas przez ogromne pokłady ludzkiego uczucia i myśli, przez całą atmosferę tych wszystkich, którzy szukali w nim pociechy, podniety, wiedzy.

* * *

Jakże inna jest ta Anglia Szekspira! Jakież ogromne przemiany przeszedł ten kraj w ciągu trzystu lat. Otamowano namiętności, przysypano popiołem pokuty porywy żądzy; ucichła muzyka, zmysłowa muzyka włoska przesiana przez sito angielskie, zamarł śmiech, tak powszechny w dramatach Szekspira. Protestantyzm począł odzierać życie z uroków i wybijać na coraz liczniejszych jego stronach stemple: „grzech“. Religia połączyła się osobliwie z moralnością życia: powiedziała, że ten komu się dobrze powodzi jest człowiekiem sprawiedliwym; powodzenie, majątek — oto najlepsze sprawdziany cnoty. Religia powiedziała, że bogacić się to nie tylko nie grzech, ale przeciwnie zasługa przed sobą i Bogiem. Wychowanie, religia stłumiły namiętności, wysuszyły natchnienia zmysłów; Anglia obudziła się w wieku dwudziestym bogata i piękna, ale dziwnie oschła, spragniona uczucia. Nawrót do uczucia ogłosili — rzecz znamienna — pisarze katoliccy Anglii, pokazując, jak zaczopowanie ujść ludzkiego uczucia wyjałowiło życie rodzinne i wystudziło serca. Powieści Johna Galsworthy są niczym innym jak wielkim apelem o odrodzenie uczucia. Pisarzom, istotom o tyleż wrażliwszym, robi się w Anglii nagle chłodno, jakby dopiero teraz uświadomili sobie, że nadmiernie długo żyli w zimnym pokoju.

Operacja, jakiej dokonała Anglia na sobie, na człowieku i na stylu życia w imię potęgi i bogactwa, była wielce ryzykowna. Przez skupienie sił i uwagi w jednym kierunku, przez nadmiar opanowania, przez położenie wędzideł na zmysły i namiętności porażono niebacznie samo źródło życia. Anglia będzie miała nie lada kłopoty, ażeby zmusić siebie do uczuć tak gwałtownych jak nienawiść, a kto wie, czy potrafi w ogóle nienawidzić zbiorowo. Anglia, która rozumie dzisiaj, że jej stan posiadania w ludziach jest zbyt szczupły w okresie, kiedy masa zaczyna wyciskać coraz większe piętno na historii, pozwolić sobie może na rozrzutną gospodarkę pieniądza, ale musi bardzo uważać z krwią.

* * *

Otamowano uczucia, nacechowano je pojęciem grzechu i oto nic dziwnego, że poszły sobie one dwoma drogami: przecedziły się w mdły sentymentalizm, któremu obce są rafy namiętności — nic bowiem nie jest dalsze od namiętności niż sentymentalizm — albo pozostawiono pole uczucia oschłej brutalności. Stąd oglądamy osobliwe widowiska: sentymentalny w Anglii młodzieniec zmienia się na kontynencie w zaciekle brutalnego mężczyznę. Forsuje on sztucznie swoją brutalność, albowiem chce się zemścić na sobie samym, na wszystkich naokoło za narzucone wędzidła. Nie zna on, albo musi się dopiero nauczyć, piękna namiętności, urody wolnej gry zmysłów; do wytarzania się zmysłów angielskich służyła ongiś Francja i bodaj cały kontynent. I dlatego bunt tylu Anglików przeciwko własnemu krajowi z tych właśnie wywodził się przesłanek: był to akt zbrzeczenia młodzieńca, któremu wychowanie i religia zatruły samo źródło życia, który zbyt późno ujrzał piękno pasji, który zbyt długo się mozolił, ażeby oczyścić staw z naniesionego szlamu. Ale nawet i wtedy, gdy zrzucił z siebie dawne łachmany gdzieś at the back of his mind — nawet w mózgu samego Byrona — zaczaiła się obawa grzechu, poczucie zmazy. I bunt tych rozlicznych Anglików przeciwko własnej ojczyźnie, chociaż zaczynał się w Anglii, wyładowywał się już poza Anglią. Był to beznadziejny a chwilami żałosny bunt przeciwko uciskowi dziesiątek lat wychowania, tamowania żywiołu, który w dobie Szekspira huczał jak pożoga w lesie.

* * *

Warwick Castle spoczął u skłonu pagóra nad rzeką. Wchodzi się do parku przez aleję wybitą w skale, która obrosła mchem i dawnością. Jest to chłodna sień przed wyjściem na przestrzeń przed zamkiem. Zamek jest w każdym calu świetny: nie tylko dorodny wiekiem, ale i tym, że przez osiem stuleci utrzymuje się w jego murach ludzkie życie. Warwick Castle nie jest zabytkiem, nie jest skamieliną, nie jest muszlą wyrzuconą falami historii na pustą plażę codzienności: bramy i baszty, pokoje widne przez wielkie okna, ściany — wszystko to jest żywe, nie tylko trwa, ale współżyje.

Z zakosów ścieżki, która wspina się stromo w górę w obramieniu poręczy, widać dokładnie plan zamku czysty i przejrzysty, paradny dziedziniec i załamaną linię dachu. Potem ze szczytu pagóra, na który wprowadza ślimacznica, ogarnia się zamek niby z lotu ptaka. Przez kraty bramy zawieszonej jakoby u baszty górnej widać teraz dziedziniec, płowy kamień murów i czarne czeluście bram. Na podjeździe skrzącym się od żółtego żwiru krzątają się ludzie, warczą auta, łażą psy. Warwick Castle przyjmuje gości.

*) Autoryzowany przedruk z książki „Kamienie i kwiaty. Przewodnik sentymentalny po Wielkiej Brytanii“.

JERZY ANDRZEJEWSKI (19)

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Dlaczego odłączył się od towarzyszy i szukał samotności? Wszystko ich oto, jego i tamtego, rozdzielało, lecz także wszystko zdawało się ich łączyć. Co w tym było rzeczywiście ważne i co się miało liczyć? Zawiłe i dręczące racje, które niosła historia, czy ten prosty, niczym nieskontrolowany odruch zwykłej ludzkiej przyjaźni i jakiejś mglistej solidarności wobec jeszcze mglistszych i nieuchwytniejszych spraw życia i losu? Nagle ogarnęło go przygnębiające znużenie. Odruchy serca nic nie znaczą. Nic nie znaczą takie oto chwile. Wiedział natomiast, jak łatwo się może zdarzyć, że w najbliższej przyszłości i on i tamten drugi staną naprzeciw siebie jako wrogowie.

Przymknął okno i szybko się po ciemku rozebrawszy, wszedł pod prysznic. Gdy wrócił do pokoju, Alek już leżał twarzą obrócony do ściany. Zgasił światło i także się położył. Długi czas leżał wyciągnięty na wznak, z otwartymi oczyma i dłońmi wsuniętymi pod głowę. Wtem Alek poruszył się na swoim tapczanie.

— Andrzej! — szepnął.

Nie poruszył się. Alek usiadł na łóżku.

— Andrzej, śpisz?

Tym razem poderwał się z furią.

— Dasz mi wreszcie spokój, do cholery?

Odwrócił się do ściany i po same uszy przykrył kołdrą. Alek już się nie odezwał. Zamknął więc oczy, czuł jednak, że nie zaśnie prędko. Tak minął kwadrans, może więcej. Płytki półsen począł go już ogarniać, gdy z głębi pokoju dobiegł go naraz cichy, przytłumiony płacz. Zrazu wydało mu się, że się musiał przesłyszeć. Uniósł głowę. Po chwili odrzucił kołdrę i boso, omijając ostrożnie w ciemnościach stół, podszedł do tapczanu brata.

— Alek — powiedział łagodnie.

Łkanie Alka ścichło. Leżał z twarzą wciśniętą w poduszkę i nogami podkurczonymi pod siebie. Kołdra zsunęła się z niego na podłogę. Andrzej ją podniósł. Chwilę stał niezdecydowany, wreszcie usiadł na brzegu tapczana i pochylił się nad bratem.

— Co ci jest? Alek!

Objął go, obrócił ku sobie i przez moment, gdy go tak trzymał w ramionach, na wskroś go przeniknęło drżenie tego wątłego, chłopięcego ciała. Tuż przy swojej twarzy poczuł twarz brata rozpaloną i mokrą od łez.

— Aleczku — szepnął.

Chciał go bliżej do siebie przygarnąć, lecz tamten szarpnął się gwałtownie.

— Idź sobie!

— Alek...

— Idź sobie!

Cofnął się w głąb tapczana, pod samą ścianę, i tam się skulił jak zwierzątko. Oczy mu błyszczały, oddychał pośpiesznie. Andrzej wyciągnął rękę.

— Alek...

Ten go odepchnął.

— Zabieraj się, słyszysz? — krzyknął zdławionym głosem. — Nienawidzę cię, rozumiesz?

— — — — — — — — — — — —

Światła przygasły i umieszczony w głębi orkiestry reflektor jaskrawym blaskiem ogarnął pusty parkiet. Gwar na sali przycichł. Siedzący przy dalszych stolikach poczęli się podnosić. Orkiestra zagrała tusz. Nim się skończył, w zatłoczonym przejściu pomiędzy barem i dużą salą rozległy się oklaski.

Hanka Lewicka z trudem przeciskała się przez ten tłum. Kotowicz torował jej drogę. Wreszcie wydostała się na parkiet. Wtedy ze wszystkich stron huczeć poczęły burzliwe brawa. Stojąc w samym środku jasności, dziękowała za nie swoim dziewczęcym, trochę nieśmiałym i jakby zadziwionym uśmiechem. Sala, zanurzona w półcieniu i szczelnie wypełniona ludzkim mrowiem, z ciężką chmurą dymu zawieszoną ponad stłoczonymi głowami i tylko z tym kręgiem jasności po środku, wydawała się teraz jeszcze rozleglejsza niż przy pełnym oświetleniu. Oklaski umilkły. Hanka Lewicka stała chwilę bez ruchu, z rękoma opuszczonymi wzdłuż jasnej, długiej sukni. Gdy ścichły na koniec ostatki gwaru i zupełna cisza stała się dokoła, skłoniła się w stronę orkiestry. Ta skrzypcami podjęła pierwsze takty piosenki.

Lekki szmer przeszedł przez natłoczoną salę. Tłum zafalował westchnieniem i znieruchomiał. Któż nie znał tej melodii? Śpiewano tę piosenkę o płaczących wierzbach, które się rozszumiały, wszędzie: na ulicach i podwórkach, w pociągach i lokalach. Urodzona w czasie wojny, krążyła teraz z ust do ust, wywołując tamte minione lata walki, opiewając chwałę chłopców z lasu, dolę i niedolę ich partyzantki, romantyczny urok narodowych wzruszeń i uniesień, które jak niezmienny, nigdy nie milknący refren przewijały się od lat przez tę ziemię nabrzmiałą krwią i łzami. Jak niegdyś żołnierz maszerował borem, lasem; jak kiedyś rozkwitały ginącym pęki białych róż i jak rozbrzmiewała ponad pobojowiskami dziarska piosenka o pani wojence, której wszystko ze siebie potrafią dać z lekkim sercem chłopcy malowani, tak teraz, z głębi najciemniejszej nocy, z samego dna cierpień i poniżeń, znad ziemi, udręczonej jak żadna inna i potarganej jak żadna inna raz się jeszcze niosła sentymentalna, patriotyczna melodyjka, łatwa i chwytająca za serce. Białe róże zaszumiały wierzbami, ułani już nie pędzili na swych koniach i nie tratowali upadających na ziemię, leśna piechota maszerowała teraz pod deszczami i pod spiekotą, lecz śmierć i miłość dziewczyny pozostały te same, jakby wszystkie klęski, które przygniotły świat, tu jedynie, w tym kraju łatwych ofiar i łatwych złudzeń, niczego odmienić nie mogły.

Czar pad na salę. Wśród ciszy, której nie mącił najlżejszy oddech, wątły, dziecinny głosik Hanki Lewickiej brzmiał ze wzruszającą prostotą i czystością. Śpiewała refren.

Nie szumcie wierzby nam
z żalu co serce rwie,
nie płacz dziewczyno ma,
bo w partyzantce nie jest źle...

Nic nie znaczyła długa, wieczorowa suknia pieśniarki, nie znaczyła nic cała otaczająca ją sztuczna scenerią parkietu i reflektorów. Była oto prostą, zwyczajną dziewczyną, jak tysiące innych polskich dziewczyn. Takie jak ona były łączniczkami, woziły tajną prasę i instrukcje, przemycały broń i pieniądze, kochały swoich chłopców, padały w szeregach rozstrzeliwanych, ginęły na barykadach Warszawy. Dla tych jasnowłosych i smukłych dziewcząt układano słowa piosenek, one były młodziutkimi żonami i kochankami, ich zaledwie rozkwitłe ciała kochali chłopcy, którzy uczyli się życia na miłości i na śmierci. Z głębi lasów, jakby z samego serca tamtych lat, biegły niewymyślne słowa:

Do tańca grają nam,
a pocisk bunkry rwie,
śmierć kosi niby łan,
lecz w partyzantce nie jest źle...

Ciężki, leniwy dur opadł na ludzi jak sen. Dokoła, w dymie i w półmroku, trwały zastygłe postacie. Głowy pochylone i oparte na pięściach. Zasłuchane twarze. Oczy zapatrzone. W niektórych łzy. Inne szklane i niewidzące. Ludzie, którzy przed chwilą byli pijani, robili wrażenie trzeźwych. Piosenka, którą niósł mały dziewczęcy głos, cofała czas, otwierała przeszłość tragicznie teraz gubioną w niepokojach w bezsensie, w chamstwie i w głupocie, w oparach alkoholu, w łatwej miłości i łatwych pieniądzach, w mglistych złudzeniach i daremnych, ślepych żalach, w całym tym splątanym życiu, które ku czemu zmierzało, dokąd miało zaprowadzić? I co w sobie niosło: zatratę, czy nadzieję? Wspomnienia ogarnęły ludzi. Cienie głosów. Cienie nieżyjących. Cienie domów, których już nie było. Cienie pejzażów. Cienie własnych losów. Ale żadna radość nie płynęła z głębi tamtych lat. Życie toczyło się gdzieś obok. Niżej, wyżej. Obok.

Piosenka się skończyła, orkiestra umilkła, lecz czar na sali nie zaraz prysnął. Długą jeszcze chwilę trwała cisza i nikt się nie ruszał. Potem dopiero zerwały się oklaski, z początku wątłe i pojedyncze, aż przeszły w ogłuszającą wrzawę. Rozbłysły światła.

VII

Zbudził się z ciężkiego snu oblany potem, z sercem w krtani. Zrazu nie mógł się zorientować, gdzie jest. Ciemność go zewsząd ogarniała. Cisza była, lecz w nim samym kotłował się i rwał zdławiony, chrapliwy krzyk. Słyszał go tak wyraźnie, jakby obok, w głębi mroku, krzyczał człowiek. Usiadł i głowę pełną tego jątrzącego wrzasku ścisnął dłońmi. Lecz krzyk nie ścichł. Skowyczał pod czaszką. Cała ciemność nim szczekała. Mocniej, aż do bólu ścisnął czoło. Skronie miał zlepione chłodnym potem, dłonie również zimne i lepkie. Przejmujący dreszcz zatrząsł nim od wewnątrz. Odruchowo poszukał koło siebie jakiegoś nakrycia. Poczuł pod palcami najpierw sztywność świeżego prześcieradła, dalej jedwab kołdry. Naciągnął ją na ramiona. I w tym dopiero momencie zdał sobie sprawę, że jest w domu, w sypialnym pokoju, na poniemieckim tapczanie, który dzielił z żoną.

Alicja spała obok. Jej oddech był równy i cichy. Pochylił się nad nią i począł się wsłuchiwać w spokój jej snu. Wtem, jakby wyczuła jego bliskość, westchnęła lekko i poruszyła się. Cofnął się. Nie przebudziła się jednak. Spała dalej. Oddech jej rozbrzmiewał tak samo równo.

Chłód ciągle w nim dygotał. Głębiej naciągnął na ramiona kołdrę i szczelniej się nią owinął. Na stoliku nocnym, pod ręką prawie, kołatał budzik. Teraz go dopiero usłyszał. Przez moment ogarnęło go zdumienie. Jakiż spokój mógł być większy? Noc. Uśpiony dom. Obok śpiąca żona. Zegar cyka. Oto czas się nagle cofnął i zatrzymał wśród jakiejś bardzo odległej, zagubionej godziny. Nieraz się tak zdarzało, że budząc się w nocy, nie starał się zasnąć natychmiast. Lubił te chwile samotności nie mającej nic z osamotnienia. Z większą niż za dnia łatwością mógł wtedy objąć całą doskonale zrównoważoną harmonię swego życia. Toczyło się bezpieczne i przejrzyste. Cisza nocnej pory, spokój domu, równy oddech Alicji pozwalały mu swobodnie zawrócić w głąb minionych lat. Wśród ich rozległej przestrzeni nie znajdował ani jednej chwili, i ani jednego zdarzenia, których wspomnienie przejąć by mogło niepokojem. Nie pragnął z przeszłości niczego przekreślić i niczego wymazać. Niczego się nie musiał z przeszłości wstydzić i niczego z niej nie potrzebował skrywać.

Lecz te mgliste wspomnienia nie poruszyły go żywiej. Gruba, watowana kołdra rozgrzała mu wprawdzie plecy i ramiona, lecz w sobie wciąż się trząsł. Pomimo znużenia bał się położyć. Przymknął tylko ciążące powieki. Poczuł ulgę. Wniknął w mrok jak w bezgłośną pustkę. Przestał nagle drżeć. O niczym nie myślał. Oparł głowę o podkurczone kolana. Spokój. Cisza. Wtem drgnął. Ktoś w ciemnościach krzyknął. Wyprostował się i cały się zamienił w słuch. Koło domu rozległ się ten głos? Na ulicy? Zrazu wydało mu się, że się przesłyszał. Po chwili dopiero się zorientował: to w nim na nowo czaił się i wzrastał ten krzyk. Słyszał go już wszędzie. W piersiach. W gardle. W skroniach. Krzyk katowanego człowieka. Skurczył się i zesztywniał, jakby nieruchomością ciała zgłuszyć chciał w sobie ten głos. Zaraz przejdzie... — pomyślał. Zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wpiły mu się w ciało. Lecz krzyk się w nim nasilał, ogromniał, ciągnął za ramiona. Czuł, że jeszcze sekunda i wszystka ciemność dokoła, cała noc, w której niewidzialnych kleszczach tkwił jak w ogromnej jamie, za-

U stóp rzeka, rozlewniejsza niż Avon pod Stratfordem, w górze wody młyn, stary, odwieczny młyn, pod którym rozpienia się rzeka przepływając na szkarpę śluzy. Rozwidla się tam i. rozsmuża, jakby przepływała przez jakiś olbrzymi grzebień. W otoczu zieleni na przeciwległym brzegu bieli się gospoda przydrożna, wiosna rozgościła się na dobre, daje znać o sobie wołaniem barw, sytością trawy, zapachem ziół, młodym połyskiem rzeki. Zbiegnijmy ścieżką w dół po zawijasach ślimacznicy obok altan obok gazonów, które przypominają Kew Gardens — te Kew Gardens z innej wiosny, kiedy rododendrony strzelały w górę jak rozrzedzone płomienie gazu. Zajdźmy do Italian Gardens, gdzie snują się pawie, krzycząc znudzonym głosem osiemnastowiecznych elegantek. Są jakby barwniejsze i świetniejsze w gamie kolorów te pawie hodowane i wychuchane od lat. Zgadzają się doskonale z tłem parku i pawilonu w głębi, gdzie przechowuje się Warwick Vase, olbrzymi i przyciężki nieco monument rzymskiej pracowitości. Pawie zamiatają ogonami ścieżki, albo muskają wystrzyżone gazony; układają się w aktorskich pozach, pełne poczucia własnej godności i urody. Są najwyraźniej zakochane w sobie, puste i egzotycznie piękne, a ich małe ciasne główki wywołują nie wiadomo dlaczego uczucie zniecierpliwienia. Kwitną jak jeszcze jeden kwiat w tym zalewie pielęgnowanego piękna.

* * *

Wracać trzeba ze swobodnych rozłogów Italian Gardens, z rozigranej zieleni wokoło Warwick Castle; wracać przez ulice obramowane dostatnimi domami, koło pięknej katedry, zajrzawszy po drodze w jedną i drugą spadzistą uliczkę, ocienioną już popołudniem. Na tych bocznych uliczkach przycupły wiekowe i urocze domy o wybrzuszonych piąterkach wzruszająco przekrzywionych drzwiach i oknach — które są niby grymas czasu — o wypaczonych ścianach. Warwick jest czarujący na tym progu wiosny.

Raz jeszcze przemierzamy Stratford, zdeptane już ulice, pozdrawiamy rzekę w przedwieczornym skosie słońca; wyjeżdża się stąd z żalem, że taki krótki był ten postój w wiośnie, ta siesta na rozgrzanym parapecie, to łagodne zamyślenie nad rzeką, która nie podmywa już brzegów, mijając z jednakowym spokojem most, kościół i cmentarz. Chciałoby się tu wrócić, ale tylko w taki dzień wiosenny, do tej gospody nad brzegiem, do tych schodów, które zapraszają przez uchylone na ulicę drzwi, do tego tańczącego światła w niskich oknach. Chciałoby się wrócić do nieba, które zakwitnie gwiazdami, do wydłużonych w ciemności topoli: patrzeć wieczorem na przypływ mroku i nie czuć lęku przed nocą, lecz przeciwnie radość, że spłynie ona dzwoniącą w uszach ciszą i niepokojem. Otworzyć rano oczy i ujrzeć przez okno rzekę, wrócić tu na jeszcze jeden niemożliwy postój w słońcu, nasycić się kimś i światem po to aby jeszcze bardziej być głodnym kogoś i świata, dwóch spraw równie pochłaniających i równie groźnych. Nieść ten swój głód dalej i ciągle, być z niego dumnym i cieszyć się nim jak największą tajemnicą we wszystkie wiosny i lata, jakie jeszcze życie zechce nam dać w swojej łaskawości.

Zbigniew Grabowski

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia"

New York, w maju 1947 r.

Z głębokim wzruszeniem korespondent Wasz słuchał odczytu Tomasza Manna o Nietzschem 29 kwietnia w Library of Congress w Waszyngtonie. Dzieli się tym wzruszeniem z czytelnikami prosząc, aby nie wyobrażali sobie, że odczyt znakomitego pisarza był ewenementem, który uświetnił swoją obecnością prezydent Stanów, członkowie izby reprezentantów i senatu. Osobistości te miały o wiele ważniejsze rzeczy do roboty i wątpliwe jest, aby w ogóle fakt istnienia Tomasza Manna przeniknął kiedykolwiek do ich świadomości. Prezydent Truman był tego dnia zajęty podejmowaniem gościa z Meksyku: prezydent Aleman właśnie przybył samolotem, składając prezydentowi Stanów rewizytę i zacieśniając więzy przyjaźni, która Meksykańczykom smakuje jak ocet. Czego się jednak nie robi dla potężnego sąsiada! Członkowie obu izb oddawali się marzeniom o niedalekiej chwili, kiedy nowa ustawa o pracy stanie się faktem, cofając społeczne ustawodawstwo Ameryki o lat dwadzieścia. Obcy doświadczeniom Europejczyków, antyhumanistyczni do szpiku kości, ustawiali te swoje talerze do parlamentarnego bankietu na brzegu gospodarczej przepaści. Na odczyt Manna przybyło sporo uniwersyteckiej młodzieży i tłuste damy w kapeluszach ozdobionych sztucznymi kwiatami, śpiące słodko przez całe przemówienie, budzące się na chwilę tylko po to, aby stwierdzić, że nie rozumieją nic, i zasypiające na nowo.

Ktoś jednak, czyja młodość upłynęła pod znakiem Tomasza Manna, miał powody, aby słuchać uważnie. Czyż wykolejeni potomkowie „Buddenbrooków" nie sprawili światu krwawej łaźni? Czyż spór Naphty i Settembriniego z „Czarodziejskiej góry" nie był centralnym sporem naszej epoki? Ile wywołał on dyskusyj! Tutaj kajam się: jak dla wielu moich współczesnych, tak i dla mnie prawdziwie fascynującą postacią był diaboliczny Naphta, cynik i ironista, sceptyk i jezuita, zwolennik fanatyzmu i przemocy. Settembrini budził pobłażanie. Był bowiem liberałem, deklamował o zwycięstwie rozumu i wierze w człowieka, a to, w czym rośliśmy, nie skłaniało ani do wiary w rozum, ani do wiary w człowieka. Nie sądzę, aby ten spór został zakończony. Naphta nadal ma moc przyciągania uwagi zarówno zwolenników prawicy, jak lewicy, gdy dobr duszny liberał Settembrini rozsypał swoje popioły na polach-koncentracyjnych obozów. Mann przeżył długie lata klęski swoich ideałów. Ten, którego nauczycielami byli Goethe i francuscy encyklopedyści, mędrzec stawiający znak równania pomiędzy rozumem i sprawiedliwością, zdradzał małą zdolność adaptacji do czasów, które przekreśliły podobne słowa. Dobrowolny emigrant z Niemiec, patrzył z rozpaczą, jak jego naród zmierza ku samozagładzie. Kosmopolita, przeżywał tragedię świata. Kajam się po raz drugi: słowa jego nie znajdowały oddźwięku u współczesnych. W roku 1935 przysłuchiwałem się obradom kongresu pisarzy antyfaszystowskich w Paryżu. Mann był jednym z jego organizatorów. Obok mnie siedział Günther, młody hitlerowski poeta. I chociaż nie lubiłem słuchać uwag Günthera wypowiadanych w kiepskiej francuszczyźnie, w których mieszał się sentymentalizm i okrucieństwo, przyznaję ze smutkiem, że było coś, co nas łączyło: była to pogarda dla Settembrinich, pogarda dla słabości ludzi, dyskutujących o prawach człowieka, bez zalecenia żadnych stanowczych i gwałtownych środków w jego obronie.

Nigdy już potem nie spotkałem Günthera. Raz napisałem do niego kartkę, w której był cyniczny dowcip. Obraził się, a ta obraza ilustruje podział ludzi na dwa obozy: jedni gardzili Settembrinim z rozpaczą, inni, jak Günther, z tryumfem.

Tak, Mann może być oskarżony o to, że był liberałem, mniej może naiwnym niż jego bohater, którego, jak to często bywa, zaopatrzył w gorsze racje niż racje jego przeciwnika, bo Settembrini był mu bliższy. Mann zawsze wierzył w ostateczne zwycięstwo rozumu i sprawiedliwości. Mówił zawsze spokojnym głosem, nie dbając, że burza zagłusza jego słowa. Jeżeli słowo „humanista" nie jest pustym dźwiękiem, to chyba w odniesieniu do Manna. Znana jest historia jego korespondencji z pisarzami niemieckimi po klęsce hitleryzmu. Entuzjastycznie zapraszany do powrotu i do objęcia przewodnictwa „duchowej rewolucji", odpowiedział, że nie widzi tej duchowej rewolucji, której mógłby przewodzić, a poza tym nie widzi powodu, aby robić ją wspólnie z tymi, którzy przez 12 lat panowania Hitlera wydawali w Niemczech swoje książki i korzystali z wszelkich przywilejów, podczas gdy on był człowiekiem bez ojczyzny. Mann w swoim liście powiedział gorzką prawdę o doli emigranta. Przyznał, że były dni, kiedy zazdrościł najbiedniejszym ludziom w Niemczech tylko dlatego, że mieszkali we własnym kraju.

Cóż Mann mówi o Nietzschem? Ogólny tok wywodów nie trudno przewidzieć. Tego „świętego niemoralności" uważa za symbol szaleństwa kończącej się ery mieszczańsko-wiktoriańskiej, a także za symbol niemieckiego umiłowania śmierci i niemieckiej manii samobójczej. „O jakiż piękny umysł został zniszczony" — powtarza za Hamletem i opowiada historię utalentowanego młodego uczonego z dobrej rodziny, który zaraziwszy się syfilisem wpada w genialny obłęd. Podwójna moralność rodzin mieszczańskich ściągnęła tę zemstę losu. Nietzsche jako zwycięstwo estetyzmu nad moralnością. Nietzsche jako zwycięstwo Dionizosa nad rozumem. Mann przypomina, że Nietzsche nie chciał, aby jego ataki na etykę żydowsko-chrześcijańską były traktowane dosłownie. Na poparcie tego cytuje listy. Nietzsche im bardziej atakował, tym większy miał szacunek dla judeo-chrześcijaństwa. Nie obalał, bo przebywał w świecie, gdzie instytucje, przeciwko którym walczył, wydawały się dostatecznie silne. Była to oblakana gra intensyfikacji jaźni poprzez tragizm. Została ona przyjęta dosłownie przez Niemców w chwili ostatniego spazmu niemieckiej warstwy mieszczańskiej, jakim był hitleryzm.

Mann ocenia Nietzschego tak surowo, jak tylko moralista może oceniać człowieka który zbrodni użyczył swojego autorytetu. Surowo też ocenia Bergsona i całą filozofię „élan vital", surowo mówi o Sorelu.

A jednak, w tej chwili spóźnionego odwetu humanisty, nie waha się bronić Nietzschego przed nadużyciami, jakich się dopuszczono wobec dzieła genialnego szaleńca. Nietzsche, gdyby dane mu było zobaczyć, do czego posłużyła jego filozofia, odwróciłby się z przerażeniem. Mann przypomina jego proroctwa: Niemcy upadną, gdyż są narodem, który nie umie rządzić. Europa straci potęgę polityczną i stanie się, jak niegdyś Grecja, jedynie ogniskiem sztuk i nauk. Rządy świata przejdą w ręce Anglosasów i Słowian. Konkluzje i wskazania na dzień dzisiejszy? Mann wierzy w normy moralności różne od praw natury. Duch, ta świadomość materii i odwet nad nią, nie ustaje w postępie. Istotną cechą socjalizmu jest to, że jest on moralny. Nie wykluczone jest powstanie nowej religii, religii człowieczeństwa. Sensem bowiem religii jest szacunek, a szacunek jest niezbędny w społeczeństwie, które chce się rozwijać.

Z żalem myślę, że niewiele tylko osób obecnych na odczycie zrozumiało poza słowami wielkiego pisarza, tło walk i nadziei, tak bliskich nam, Europejczykom, a tak odległych od Amerykanów. Nie mówię o tłustych śpiących damach, które przyszły tylko po to, aby później pochwalić się przed znajomymi. Dzielna i inteligentna młodzież oklaskiwała z zapałem zdania o rządzie rozumu, o racjonalnej myśli XVIII wieku. To było jej bliskie, bo w tej tradycji jest chowana w szkołach. Przecież wszystkie amerykańskie walki wyzwoleńcze i cała filozofia polityczna z tego się wywodzą. Tak, ale ta młodzież, to przecież Settembrini z 1910 roku. Dobroduszny, naiwny i szlachetny, niezdolny nawet do odwrócenia tego, co się teraz dzieje w senacie, o kilka kroków od biblioteki, gdzie odbywa się odczyt. Gorzki i doświadczony Settembrini 1947 roku przemawiający z katedry jest czymś innym, o, bardzo innym. Ale równocześnie czymś innym od fanatycznego i okrutnego Naphty.

Jan M. Nowak

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

IGNACY NARBUTT—**Ludzie i wydarzenia, str. 118, zł 150.—**

(Książka płk. Narbutta jest przyczynkiem do historii okupacji i walk wyzwoleńczych. Obok kronikarskiego podania terrorystycznych działań okupanta zobrazowane są fragmenty walk partyzanckich i akcji niepodległościowej ruchu podziemnego. Partyzantka w Kieleccźźnie, Lubelszczyźnie, okupacyjna Warszawa itd widziane oczami dowódcy partyzanckiego w szkicach płk. Narbutta pozwalają czytelnikowi poznać rzeczywistość okupacji).

K 168-1

Kronika francuska

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PISARZA

W związku z niedawną śmiercią znakomitego poety i powieściopisarza Jean-Richarda Blocha przypomniano jego przemówienie, wygłoszone w ub. r. na zjeździe „Narodowego Związku Intelektualistów Francuskich". Bloch mówił o odpowiedzialności.

„Mozolne i nieustanne poszukiwanie formalnych piękności, słowa trafiającego ściśle w rzeczywistość, poszukiwanie najwybredniejszych subtelności wyrazu i poetyckiej ekspresji, wszystkie te zalety są związane ze specyficznym poglądem na wartości naszej literatury. Ale ośmielę się również dodać, że cała ta wartość, gdyby miała się ograniczyć tylko do poszukiwań tego rodzaju, byłaby wartością małej wagi".

Wartość utworowi sztuki nadaje dopiero jego treść, którą pisarz czerpie ze swego stanowiska wobec rzeczywistości, stanowiska obrońcy postępu i demokracji. „Nie usiłuję domagać się od arcysubtelnych komentatorów definicji tego, co oznacza dla pisarza demokracja — stwierdza dalej Bloch. — Wydarzenia ostatnich sześciu lat, i nasza literatura oporu, i sam ruch oporu zrobiły to za nas. Definicja ta zawiera się w jednym słowie: odpowiedzialność. Odpowiedzialność w dziedzinie twórczości i ściśle z tym związana odpowiedzialność w dziedzinie politycznej dalekowzroczności, w dziedzinie odwagi cywilnej, wierności względem ludu i narodu".

Słowa te warto przypomnieć także u nas w związku z dyskusją o stanowisku pisarza, zapoczątkowaną na ostatnim zjeździe literatów polskich.

REPORTAŻ I POWIEŚĆ

W artykule o reportażu, ogłoszonym przez jednego z najznakomitszych francuskich reportażystów J. F. Rollanua w „Les Cahiers d'Action", znajdujemy ciekawe spostrzeżenia na temat pokrewieństw między reportażem i powieścią.

Jedno z tych pokrewieństw, według autora, bierze swój początek w głodzie konkretności. „W przeciwieństwie do XIX w. — pisze on — rola fikcji w powieści nie przestaje maleć. Powieść współczesna usiłuje zbliżyć się jak najbardziej do rzeczywistości, wyczerpać pełnię doświadczeń. Jej bohaterzy żyją, działają, walczą i umierają, niezdolni do oderwania się od rytmu i konfliktów świata współczesnego. Powieść staje się obiektywna, i powieściopisarz, który stara się o obiektywizm, nie może niczego pomijać. To, czego jego osobiste doświadczenie nie pozwalało mu przeżyć, zastępuje dokładną i pogłębioną dokumentacją".

Zastanawiając się nad tradycją i wpływami, mówi Rolland:

„Dominować zaczął wpływ rosyjski z świetną „Wojną i pokojem", w której Tołstoj potrafił ująć pełnię swojej epoki. Świeżo rośnie fala wpływu Amerykanów. W ich dziełach poczynają zanikać granice, które oddzielały powieść od reportażu, wytwarza się wspólna strefa, w której oba te gatunki zazębiają się o siebie, w której jednak powieść dzięki swej żywotności, ze swymi nieograniczonymi możliwościami aneksji, zachowuje pozycję górującą".

„Książki Caldwella obok głębokiej poezji i biblijnej formy mają charakter gniewnych dokumentów nędzy wieśniaków w USA. „W wątpliwej walce" Steinbecka jest powieściowym reportażem o strasznej walce robotników rolnych z ich eksploatatorami. Hemingway napisał wielkie reportaże („Zielone wzgórza Afryki", „Śmierć w popołudnie") i powieści („Pożegnanie z bronią"), w których technika dziennikarska jest zupełnie wyraźna: styl eliptyczny, potoczny, pełen szybkich przeskoków, prostota dialogów, mistrzostwo w opisie wypadków. John Dos Passos tworzy rozległe malowidła syntetyczne przez pokazywanie równoległe migawek, wyrwanych z rzeczywistości, usiłuje przy pomocy tytułów, cytowania artykułów z gazet wywołać uczuciowy odpowiednik lat, które przeminęły".

Poza tymi tendencjami, w których przebija się chęć zrealizowania sławnej definicji Stendhala „powieść-zwierciadło", i poza wpływami techniki reportażu na powieść współczesną, wskazuje Rolland na jeszcze jeden moment, łączący dzisiaj wielu powieściopisarzy i reporterów — jest nim, według ulubionego na Zachodzie zwrotu: „zaangażowanie się" pisarza, poczucie zadania wobec rzeczywistości.

Warszawska S-ka Wydawnicza „SYRENA" Sp. z o. o.

WARSZAWA, ul. WILLOWA Nr 9

poszukuje

Spadkobierców Hajoty (Heleny-Janiny z Boguskich I-voto Szolc-Rogozińskiej II-voto Pajzderskiej) oraz adresów: Janiny Zawiszy-Krasuckiej i Adama Laternera — względnie Ich Spadkobierców.

wrzasną tym potwornym wyciem. Nie mógł tego znieść. Poderwał się z posłania. Krzyknął.

Pani Alicja natychmiast się przebudziła. Usiadła i po omacku, jeszcze odurzona snem, poczęła trzęsącymi się dłońmi szukać kontaktu. Znalazła go wreszcie. Zaświeciła.

Antoni klęczał na tapczanie nieopodal. Ciężki. Masywny i kanciasty. Twarz miał pobladłą, straszliwie zmienioną. W pasiatej pyjamie i z niekształtną, ogoloną głową wyglądał w tej chwili na wypuszczonego z więzienia zbrodniarza. Gdy skierował na nią szklane spojrzenie martwych, nienaturalnie rozszerzonych oczu, cofnęła się odruchowo.

— Zgaś! — mruknął niewyraźnie.

Usłuchała natychmiast. Ciemność z powrotem zaległa. Antoni nie ruszał się. Skulona przy swojej poduszce widziała wyłaniający się obok z mroku masywny, do kłody podobny zarys jego sylwetki.

— Antoni! — szepnęła.

Milczał.

— Co ci jest?

— Nic.

Musiała zdobyć się na duży wysiłek, aby opanować drżenie głosu.

— Dlaczego się nie kładziesz?

Położył się. Znów się stała cisza.

— Antoni...

— Co?

— Śniło ci się coś?

— Może. Nie pamiętam.

— Krzyknąłeś.

— Czy tak?

— Obudził mnie twój krzyk.

— Bardzo mi przykro.

Mówił spokojnie i wyraźnie. Nie czuł już żadnego lęku. Minęło wszystko. Znów spokój. Leżał na wznak, równo wyciągnięty, z zamkniętymi oczami, usiłując oddechowi nadać rytm zasypiania. Wiedział jednak, że nie zaśnie. Bliskość żony ciążyła mu coraz bardziej. Na cóż jeszcze czekała? Czemu, zamiast się położyć i spać, siedziała bez ruchu w swoim kącie czujna, wyczekująca? Czego się spodziewała? Nie chciał jej troskliwości. Nie potrzebował jej dobroci ani jej miłości. Niczego od niej nie potrzebował. Tylko ludzie najbliżsi kiedyś mogą się stać tak obcy, jak obcą i daleką była dla niego teraz ta dzieląca z nim małżeńskie łoże kobieta. Cóż o nim wiedziała? Jak śmieszny był cały jej niepokój! Jej litość. Wszystkie jej najlepsze uczucia i najlepsze chęci trafiały w próżnię, daremne i niepotrzebne. I nagle poczuł, że za to właśnie, że była dobra, wierna, łagodna i oddana mu, może ją znienawidzieć. Ledwie to sobie uświadomił, doznał ulgi, radośnie się nieomal tą nienawiścią zachłysnął. Odetchnął głębiej.

Pani Alicja poruszyła się.

— Nie możesz zasnąć?

— Nie.

Milczała chwilę. Ale Kossecki był pewien, że Alicja nie poprzestanie na tym jednym pytaniu. Cierpliwie czekał dalszych. Myśli szybkie i śliskie, prawie nieuchwytne, przemykały mu przez głowę. Jeszcze nie wiedział, w jaki sposób i w którym momencie uda mu się najboleśniej dotknąć i zranić żonę, wiedział jednak, że to uczyni i że sprawi mu to przyjemność. Nie musiał czekać długo.

— Antoni!

— Co?

— Chciałam cię spytać o coś...

— No?

— Może ci przeszkadzam, chcesz spać?

— Nie. Słucham cię.

Zawahała się. Za dnia zbrakłoby jej odwagi, aby rozpocząć podobną rozmowę. Teraz ciemność ją ośmieliła.

— Ciągle o tym myślę.

— O czym?

— Dlaczego tak w sobie wszystko skrywasz, Antoni? Wiem przecież...

— Co rozumiesz przez wszystko?

— To, co przeszedłeś...

— Ach, to!

— Wiem przecież, Antoni, że musiało ci być ciężko, że straszne rzeczy przeżyłeś. Ale gdybyś tylko zechciał...

— ?

— Dawniej, gdy miałeś zmartwienia, albo kłopoty, zawsze się nimi ze mną dzieliłeś. Przypomnij sobie.

— Tak?

— Nie pamiętasz?

— Możliwe.

Głos jej zadrżał lekko.

— Czy teraz jestem już dla ciebie zupełnie obcym człowiekiem? W niczym ci nie mogę pomóc?

— W czym na przykład?

Znów umilkła. Zaraz zacznie płakać — pomyślał. Ale nie zaczęła.

— Byliśmy zdaje się szczęśliwym małżeństwem, Antoni — powiedziała cicho.

Ach, więc to! Byliśmy, było, dawniej, kiedyś... Czas przeszły na wszystkie sposoby odmieniany. Dla niej życie zawsze posiadało jakąś ciągłość, jakiś jednym, prostym nurtem płynący sens.

— Czy nie tak?

— Co?

— Było nam dobrze ze sobą. Dwadzieścia dwa lata, Antoni.

Milczał. Dwadzieścia dwa lata? Mogła równie dobrze powiedzieć: dziesięć lat, trzydzieści, nawet czterdzieści. Sens wynikał ten sam. To znaczy żaden. Nie pojmowała, że życie może się rozpaść jak zbutwiały łachman. Odeszła go nagle nienawiść. Spłynęła z niego, nawet osadu nie pozostawiwszy. Wszystko to nie miało sensu. Nawet nienawiść. Miał przed sobą ostatecznie dwa zaledwie dni. Potem koniec. We wtorek spotka się ze Szczuką i od tej chwili przestanie się nazywać Kossecki. Wszystko, co pod tym nazwiskiem zdziałał w ciągu długich lat, okaże się jak puch lekkie i nikłe w porównaniu z tym ciężarem, którym człowiek, nazywający się Rybicki, przechylił na dół drugą szalę wagi. Wyobraził sobie salę sądową i siebie na ławie oskarżonych, wysłuchującego długiej listy popełnionych przestępstw, potem wygłaszającego swoje ostatnie słowo. Rozległa wysoka sala, w której codziennie przez kilka lat osądzał był ludzkie przewinienia. Cóż mógł powiedzieć w swojej obronie? Wszystko i nic. Jak sztywne i martwe wobec życia wydawały mu się teraz paragrafy karnego kodeksu! Życie niosło upodlenie i strach. Zwyczajny, ludzki strach. Lęk człowieka, który powoli się zanurza w śmierdzącą kloakę. Życie uczyło, jak trzeba walczyć o jego zachowanie. Uczyło nienawiści i pogardy. Toczyło się poza prawem. Suche orzeczenia kodeksu przechodziły ponad tą otchłanią z wysoka. Cóż łatwiejszego, niż nazywać i osądzać? Ale w imię czego? W imię jakiej sprawiedliwości? Wtem, wśród tych poszarpanych i niespokojnie się tłoczących myśli, jedno zdanie zarysowało mu się bardzo wyraźnie. „Wysoki Sądzie..." Tłum ludzi. Sędziowskie togi. Krzyż. Cisza. Słyszał swój własny głos tak dokładnie, jakby zewsząd go otaczająca ciemność posiadała rozległy rezonans sali sądowej. „Są takie skazy na honorze — mówił spokojnie i głośno — i takie przewinienia, które w imię sprawiedliwości należy pozostawić osądowi ludzkiego sumienia..."

Pani Alicja bliżej się przysunęła w jego stronę.

— Antoni!

— Cóż to jest sumienie? — myślał. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Sumienie? Mglisty kształt. Puste słowo. Jeszcze jedno słowo.

— Nie śpisz?

— Nie.

— Nie gniewaj się...

— Ależ nie — powiedział prawie łagodnie.

— Gdybyś nie był tak skryty, tak w sobie zamknięty, na pewno by ci było lżej. I mnie także by było lżej — dodała ciszej.

— Myślisz?

— Na pewno. Już tak się staram, żebyś miał spokój, żebyś naprawdę mógł odpocząć. Ale widzę przecież, że się męczysz. Chciałabym ci jakoś pomóc, Antoni. Czasem mi się jednak wydaje, że ci tylko przeszkadzam i wcale mnie nie potrzebujesz.

— Cóż? — mruknął. — Chcę być przez jakiś czas sam. Przez pięć prawie lat nigdy nie byłem sam.

— Bili cię? — szepnęła.

— Jak wszystkich — odpowiedział po dłuższej chwili. — Z początku zwłaszcza.

— Potem było lepiej?

— Trochę lepiej. Zresztą, jak dla kogo.

Ciemność i cisza zdawały się odejmować słowom ich wagę. Przez moment miał wrażenie, że tego co mówi nikt nie słucha.

— Potem można było bić innych — powiedział z namysłem.

Nie zrozumiała zrazu.

— Jakto, Niemców?

— Ale nie! — roześmiał się. — Współwięźniów. Polaków, Francuzów, Włochów, Rosjan, różni tam byli.

Gdzieś z daleka, z głębi nocy, dobiegło kilka krótkich, echem zgłośnionych strzałów. Uniósł się na łokciu.

— Nie rozumiesz?

— Nie. Jak to można było bić?

Tylko dobroć może być tak głupia — pomyślał.

— Zwyczajnie — odpowiedział najspokojniejszym głosem. — Przy dobrych chęciach i szczęśliwym zbiegu okoliczności można było zostać pewnego dnia sztubowym. Wiesz, co to jest sztubowy?

— Tak — szepnęła.

— No więc! Miało się wtedy u Niemców duże fory. A za to... jasne chyba, nie? Wielu się urządzało w taki sposób. Tacy mogli wszystko przetrzymać.

Zaległa cisza. Położył się z powrotem. Ciągle cisza.

— I cóż? — spytał wreszcie.

— To straszne, Antoni! — szepnęła. — Wprost wierzyć się nie chce.

— Że co?

— Pomyśl, Antoni, jaki okropny los takich ludzi, nawet jeśli ich nie dosięgnie kara.

Niczego się nie domyśliła. Cień nawet podejrzenia do niej nie przeniknął. Tym lepiej. Ogarnęło go znużenie i senność. Czuł, że teraz zaśnie. Lecz przedtem chciał się upewnić.

— Myślałem, że dosłownie zrozumiesz to, co powiedziałem.

— Jak to dosłownie? — zdziwiła się.

— Że ja się też tak urządziłem.

— Antoni, jak możesz nawet tak myśleć?

— Cóż chcesz? — ziewnął. — Obóz zmieniał ludzi.

— Więc widziszl — zawołała wzruszonym głosem. — Możesz być dumny, że przeszedłeś przez te wszystkie potworności i jednak pozostałeś sobą.

Kossecki bez słowa odwrócił się na bok, do ściany. Chciał spać.

— Dobranoc, Antoni — odezwała się po długiej chwili pani Alicja.

— Dobranoc — odpowiedział już zupełnie sennie.

PRZERYWAMY DRUK POWIEŚCI JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO »ZARAZ PO WOJNIE« W NIEDŁUGIM CZASIE UKAŻE SIĘ ONA W WYDANIU KSIĄŻKOWYM NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „CZYTELNIK"

IKARIA, WYSPA ZAGŁADY

ΠΡΟΜΗΘΕΑΣ

ΔΕΚΑΠΕΝΘΗΜΕΡΗ ΕΦΗΜΕΡΙΔΑ ΤΗΣ Ο.Ε.Π.Ε. ΕΥΔΗΛΟΥ

ΣΑΒΒΑΤΟ 1 ΤΟΥ ΦΛΕΒΑΡΗ, 1947 — ΑΡΙΘΜΟΣ ΦΥΛΛΟΥ 2.

ΗΕΝΙΑΙΑ ΟΜΑΔΑ

Χρονογράφημα

ΟΙΛΥΚΟΙ

Κοινή Ζωή μας

ΣΥΝΕΛΕΥΣΕΙΣ

ΣΤΙΣ 5 Γενάρη ἔγινε ἡ γενική ἐνη-

Η... 13η ΚΥΒΕΡΝΗΣΗ

ΕΜΕΙΣ ΚΙ ΑΥΤΟΙ

Fragment ręcznie pisanej gazety greckich zesłańców

.. popularnego generała Eurypidesa Bakirosa... w sobotę znaleziono martwego w jego mieszkaniu na wyspie Ikaria. Pobieżne ogledziny pozwoliły stwierdzić, że Bakiros zmarł na skutek strzału rewolwerowego wymierzonego w serce". (Express Wieczorny z dn. 11 ub. m.). Ta oschła notatka w dzienniku zapewne niewiele mówi polskiemu czytelnikowi; a przecież tyle treści zawiera dla tych, komu nie jest obca egzotyczna nazwa Ikarii.

Skalista wysepka egejskiego archipelagu, zawdzięczająca swą nazwę mitycznemu Ikarowi, który tu właśnie miał zginąć, stała się dziś miejscem zagłady współczesnych herosów Grecji, wyspą zesłania i poniewierki.

Ale zanim do niej dotrzemy, zatrzymamy się po drodze dla kontrastu na innej wyspie, na Sfros, gdzie tysiące kolaboracjonistów i zdrajców, Albańczyków, Bułgarów i Jugosłowian, korzystają z hojnej gościnności obecnego rządu greckiego.

Tu, wśród bezbronnych i głodnych Greków, dla których chleb własnego domu stał się gorzki (podczas wojny z 24000 mieszkańców 8000 zginęło z głodu), żyją oni swobodnie, otrzymują pracę i obfite przydziały, które sprzedają Grekom na miejscowym targowisku, handlują kosztownościami, zrabowanymi u Greków podczas niemieckiej i włoskiej okupacji. Ponadto otrzymują po 2 tysiące drachm dziennie na osobę. Wystarczy na nich spojrzeć, aby stwierdzić, że nie mają powodu skarżyć się na rząd grecki.

Zaczęli się pojawiać już od początku 1945 roku, zrazu w Salonikach i różnych mieścinach północnej Grecji. Potem przerzucono ich do Laryssy, centralnego miasta Tessalii, stąd do Aten i Pireusu. Od początku 1946 roku osiedlają się na wyspie Siros. W sierpniu 1946 r. było ich tu już przeszło 1500. Nie brak wśród nich osławionych watażków, jak Albańczyk Ali Nivica, który spalił wioskę Krania, miejscowość Droviani i był dowódcą straży niemieckiej; lub Ali Terbow, morderca partyzantów, który brał udział w rzezi chrześcijańskich kupców w miejscowości Korycas; albo Avdula Sina, organizator wymordowania 18 chrześcijan w wiosce Osmancifiki; Bułgar Manio Popow, lotnik, który w eskadrze niemieckiej bombardował Saloniki, służył w SS, został skazany na 15 lat więzienia w Bułgarii i uciekł do Grecji itd., itd.

Tym wczorajszym wrogom narodu greckiego rząd grecki udzielił prawa pobytu i utrzymywania kontaktów z zagranicą, z grupami quislingowców, którzy znaleźli się w różnych ośrodkach Europy i Ameryki, gdzie prowadzą ożywioną działalność, wydają gazety, czasopisma i książki, podniecające fanatyczną nienawiść do młodych republik Albanii, Bułgarii i Jugosławii. Na wyspie Siros pozwala się im knuć spiski i planować zbrodnie.

Z uczuciem wstrętu i goryczy porzuca się wyspę Siros.

Pola minowe i wiele innych przeszkód do dnia dzisiejszego broni za to dostępu do Ikarii, dokąd obecny rząd grecki zsyła greckich patriotów.

Dość popatrzeć na strome, spadziste i nagie brzegi Ikarii, przewędrować z miejscowości Evdivolon do Agioskirikos, dwóch osiedli zaludnionych przez zesłańców, ażeby przekonać się, w jak ciężkich warunkach żyją ci ludzie.

Leży przede mną gazeta-rękopis „Prometeusz", czasopismo wygnańców, pisane ręcznie.

Oto wyjątek ze wstępnego artykułu:

„Historia zanotuje, że polowano na nas, że porywano nas z domów naszych. A ilu można było zabić — zabito, innych poddano torturom i zapełniono nami więzienia. W ciężkich kajdanach rzucono nas na dzikie wyspy, byśmy zginęli."

„Tych, co sprzedali Ojczyznę, i obecnie ją po stokroć sprzedają, znamy dobrze, rozumiemy ich mowę, znamy ich czyny — my wszyscy, dorośli i nawet dzieci 10-cio i 5-cio letnie, które znalazły się jako wygnańcy pośród nas. Naród, w ten sposób tępiony, zapełnia wyspy, więzienia i lasy".

Życie na wyspie byłoby beznadziejne i wielu zesłańców umarłoby z głodu i chorób, gdyby nie ich własny solidarny wysiłek w zorganizowaniu codziennego porządku życia i gdyby nie pomoc materialna z zewnątrz.

Do stycznia 1947 r. byli dosłownie pozostawieni swojemu losowi, ponieważ władze rządowe nie zaopatrywały ich systematycznie w chleb. Do ostatniej chwili pozbawieni byli opieki lekarskiej. Ale troskę o los swoich patriotów wziął naród grecki na siebie. Zorganizowano pomoc, przekazuje się paczki z żywnością, odzież, zbiera się pieniądze. Organizacja zesłańców prowadzi wspólną kuchnię dla wszystkich oraz w miarę możności zaopatruje ich w potrzebne rzeczy. Dzięki tej pomocy powstała pracownia krawiecka, szewska i inne. Nie zaniedbuje się też wychowania i kształcenia zesłańców. Trzy razy w tygodniu literaci, politycy, lekarze, rolnicy fachowcy dzielą się z towarzyszami niedoli wiadomościami fachowymi. Wykłady odbywają się w tzw. klubie. Wieczorem czy w nocy, przy lampie naftowej, wygnańcy spędzają tu długie godziny. Na ścianach napisy: „ofiara i cierpienie dla narodu i ojczyzny jest najwyższą cnotą człowieka". „Prometeusz, Elektra i Antygona — oto drogowskazy greckiej historii, greckiego ducha, greckiej nadziei". „Grecja nie może budować swojej niepodległości w oparciu o angielskie bagnety. Naród grecki domaga się, ażeby Anglicy usunęli się z Grecji". Hasło „Na Figun i Angli" (Anglicy pójdą precz) napisane jest czerwonymi literami na ścianach wszystkich domów na Ikarii.

Zbirom z wyspy Siros Ikaria przeciwstawia postacie, jakby żywcem wzięte z historii antycznej. Alcybiades Lulis przez dwadzieścia lat był posłem greckiego parlamentu z ramienia demokratycznej partii Venizelosa. Kiedy okupanci zajęli Grecję, Lulis wziął czynny udział w organizowaniu ruchu oporu, w tworzeniu centralnego komitetu EAM i wojsk Ellasu. Wybrany posłem Narodowego Sejmu w czasie okupacji, w tajnym dla wroga, ale powszechnym i równym głosowaniu, zostaje potem ministrem pierwszego ludowego rządu w górach Tessalii oraz gubernatorem w Tracji.

Teraz Lulis jest jednym z tych demokratów greckich, których tysiącami aresztuje się w domu, na ulicy lub w miejscu pracy, dniem i nocą; których skazuje się na deportację bez aktu oskarżenia, bez sądu, bez możliwości obrony, na posterunkach policji przy drzwiach zamkniętych. Których przed zesłaniem trzyma się po parę miesięcy w więzieniu, poddając torturom. Niektórym wykłuto oczy, powyrywano paznokcie, połamano ręce i nogi, proponując przy tym natychmiastowe uwolnienie pod warunkiem wyrzeczenia się EAMu. Los ojców dzieliły później żony i dzieci. Na wyspie Ikaria znalazło się wiele kobiet, dzieci i starców, których synowie i mężowie byli w szeregach partyzanckich wojsk demokratycznych.

Do dnia 31 grudnia 1946 r. rząd Tsaldarisa wyznaczał dla deportowanych po pięćset drachm dziennie, z czego trzysta zatrzymywał za sto gramów chleba, i ponad tę normę więźniowie nic nie otrzymywali. Ale i tej skromnej racji nie przysyłano systematycznie.

W styczniu 1947 r. deportowanym zaglądała w oczy śmierć głodowa, co zmusiło ich do zwrócenia się do komisji specjalnej Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Poseł Lulis, jako przewodniczący Centralnego Komitetu Więźniów Politycznych, piętnuje politykę Tsaldarisa. Stosunek rządu do zwolenników narodowej i politycznej wolności Grecji spowodował, że tysiące demokratów poszło w góry, aby ratować honor i życie, zaopatrzywszy się w broń z magazynów rządowych, zdobytych w walce z oddziałami żandarmerii, policji i wojska rządowego.

„Armia demokratyczna" — mówi Lulis — „rośnie z dnia na dzień, krew grecka przelewa się w wojnie domowej, co zagraża bezpieczeństwu na Bałkanach. Dramat ten ma charakter wyłącznie wewnętrzny, i nie ma nic wspólnego z epizodami na pograniczu".

Druga grupa deportowanych na Ikarii znajduje się w Agios Kirykos, małym ośrodku rybackim. Jeden z zesłańców w rozmowie stwierdza: „Wśród 998 deportowanych są kobiety, dzieci i starcy ze wszystkich ośrodków Grecji i wysp, uczeni, rolnicy, robotnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, dziennikarze i literaci, oficerowie i żołnierze Ellasu. Dokładniej: mamy 83 uczonych, 150 kobiet i dzieci, 120 starców, 176 rolników, 336 robotników, 124 przedstawicieli wolnych zawodów. 123-em zburzono domy i dobytek, 359-iu więźniom politycznym policja zabrała wszystko, co posiadali, 112-tu zesłańcom zabito rodziców i braci. Rząd grecki uznał ich za zdrajców, a tymczasem znaleźć można wśród nich 61 starych bojowników greckich o wolność, 31 weteranów wojny bałkańskiej, 250 brało udział w wojnie z Włochami w Albanii w r. 1931, 400-stu walczyło z okupantem niemieckim w latach 1941-44".

Dimitrios Balis tak oto opisał swój los na Ikarii: „Dwadzieścia dwa lata służyłem w wojsku greckim jako oficer i w czasie okupacji niemieckiej z dumą nosiłem mundur greckiego oficera wojsk powstańczych. W 1943 roku, w czasie gdy Niemcy przerzucali swoje siły na południe, spowodowałem zatrzymanie ruchu kolejowego na 14 dni. Przed wyborami, w roku 1946, zostałem aresztowany i zesłany na wyspy. Dwa miesiące przebywałem w więzieniu, gdzie głodzono mnie i wybito mi zęby. W tym czasie dwóch angielskich oficerów zwiedziło więzienie. Nie zrobili nic, ażeby zmienić czy polepszyć mój los. Czy nie lepiej być wolnym człowiekiem w górach, wśród partyzantów, i z bronią dobijać się sprawiedliwości, niż ginąć powoli w więzieniu lub na zesłaniu".

Największą popularnością cieszył się generał Eurypides Bakiros. Wybitnie utalentowany oficer, przed wojną za lewicowe poglądy był pomijany przy awansach. Jako pułkownik stanął na czele oddziałów Ellasu i za wyjątkowe zasługi w walce z Niemcami z końcem 1944 r. został mianowany generałem przez rząd Papaandreu. Dowodził armią Ellasu, złożoną z czterech dywizyj. To on był zdobywcą i oswobodzicielem Salonik. Dzielny, bohaterski, bardzo popularny, był tym bardziej znienawidzony przez reżim. I oto, jak podaje dziś gazeta: „Według powszechnej opinii Bakiros zginął od skrytobójczej kuli, ponieważ obawiano się, że może mu się udać połączyć z powstańcami." (Express Wieczorny).

Dawniej w tym miejscu zginął Ikar. Dziś giną tu współcześni herosi Grecji. Giną inaczej. Od kuli skrytobójczej.

Andrzej Piotrowski

Na wyspie Siros

Demonstracje antyangielskie

Żywa Polska w Turynie

Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia"

Rzym, w maju 1947 r.

RÓD BEGEYÓW I GAROSCI-AGOSTICH

Wiele jest pamiątek polskich we Włoszech. W Rzymie, Bolonii, Padwie, raz po raz natrafia się na ślad więzów, od wieków łączących Polskę z kulturą i historią Włoch. Każde takie spotkanie w czasie otwiera wspaniałą panoramę myśli ludzkiej, sięgającej znad Tybru aż po zygmuntowską Polskę i po wiekach powracającej do Rzymu prometejskim szlakiem Mickiewicza. Związki te wyrażają się nie tylko w martwych, milczących kamieniach Colosseum i Forum — miejscach dramatycznej pielgrzymki Konradów, Kordianów i Irydionów. W Turynie, na włoskiej północy, powstała w okresie ostatniego stulecia stolica żywej polskości, opromieniona umiłowaniem wszystkiego, co zrodzone jest z polskiego ducha. Dwa rody włoskie zasiadły na tronie tej dziwnej stolicy — ród Begeyów i Garosci-Agostich.

Begeyowie — spadkobiercy tradycji Attilio Begeya (1843—1928), entuzjasty Andrzeja Towiańskiego, żarliwego wyznawcy jego idei i zasłużonego wydawcy jego dzieł, zachowali żywy kult dla autora „Biesiady" i jego ojczyzny. Jeszcze w roku 1925, podczas pierwszego pobytu profesora Kota w Turynie, opowiadał mu osiemdziesięciotrzyletni Begey charakterystyczne zdarzenie, które zadecydowało o jego sympatiach dla Polski. Otóż w r. 1848, gdy mały Attilio liczył pięć lat, oddziały austriackie splądrowały jego rodzinne miasteczko. Podczas tumultu do mieszkania matki Attilia wszedł oficer w austriackim mundurze i skłoniwszy się szarmancko, powiedział do przerażonej pani Begey: „Niech się pani nie boi. Nie stanie się pani nic złego. Ja jestem Polakiem". Mały Attilio, który był świadkiem tej sceny, zachował w pamięci wizerunek szlachetnego Polaka, obrońcy uciśnionych i kobiet. Tę scenę miał żywo w oczach, gdy w roku 1865 pojechał do Zurychu, by osobiście poznać Towiańskiego. Od tej pory ukochanie Polski i jej kultury, znajomość języka polskiego, obowiązkowa w rodzie Begeyów, stanowią fundament turyńskiej polskości, wyrosłej z mistycznego poglebia towianizmu.

Nie mniej oddany jest Polsce ród Garosci - Agostich. Cristina Agosti, z domu Garosci, wiceprezeska na Piemont związku kobiet włoskich, z ideowych powodów zainteresowała się Polską i jej kulturą. Przetłumaczyła m. i. na język włoski „Popioły" Żeromskiego („Ceneri") i „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza. Cristina Agosti jest obecnie bibliotekarką „Instituto di Cultura Polacca Attilio Begey" w Turynie. Jej starsza siostra, Clotilda Garosci, pierwsza przełożyła na język włoski „Pana Tadeusza". Syn Cristiny — dr Giorgio Agosti odziedziczył po matce kult dla Polski. Studia historyczne pod kierunkiem prof. Ruffiniego, autora słynnej „Historii tolerancji religijnej w Europie", polonofila, przywódcy włoskich liberałów i antyfaszysty, jeszcze bardziej pogłębiły polskie sympatie Agostiego. Pracując nad dziejami teoryj politycznych, ogłosił m. i. rozprawy o Andrzeju Fryczu Modrzewskim i Pawle Włodkowicu. Podczas wojny dr Agosti kierował włoskim ruchem oporu w Piemoncie. Obecnie jest kwestorem policji w Turynie.

Dokoła dwóch rodów Begeyów i Agostich skupili się w Turynie wszyscy, którzy interesują się Polską. Z tradycji Attilio Begeya wyrósł w oparciu o uniwersytet „Instytut Kultury Polskiej im. Attilio Begeya" („Instituto di Cultura Polacca Attilio Begey"), którego prezesem jest każdorazowy rektor uniwersytetu turyńskiego. W ten sposób z biegiem lat powstało w Turynie środowisko owocnie pracujące w dziedzinie polonistycznej, propagujące kult literatury polskiej i miłość dla polskiego słowa.

MANIFESTACJA PRZYJAŹNI

W połowie marca br. przybył do Turynu na zaproszenie syndyka (burmistrza) Turynu ambasador RP prof. Stanisław Kot. Podczas trzydniowego pobytu w Turynie był on nadzwyczaj serdecznie podejmowany przez ojców miasta, władze uniwersytetu. Agostich i Bersano-Begeyów, których dom, pełen polskich pamiątek, druków, sztychów i obrazów, swoim wnętrzem i nastrojem przypomina polski dom na emigracji.

„Trzy dni korzystali z bezkarności turyńscy złodzieje, bo kwestor policji, dr Agosti, zajęty był pilotowaniem polskiego ambasadora" — tak twierdzili spokojni obywatele Turynu. Rzeczywiście, przyjęcie, jakie turyńczycy zgotowali ambasadorowi Polski, nie miało w sobie nic ze sztywnej etykiety dyplomatycznej, lecz było żywym i spontanicznym hołdem, złożonym przedstawicielowi Polski i polskiej nauki.

Prasa turyńska wszystkich odcieni politycznych poświęciła wizycie przedstawiciela Polski wiele serdecznych artykułów. Ambasador udzielił kilkunastu wywiadów na temat polsko-włoskich stosunków gospodarczych i kulturalnych.

Niewątpliwie jednak największym przeżyciem było dla wybitnego uczonego polskiego bezpośrednie zetknięcie się z „żywą Polską" w Turynie, z domem Agostich i z duchowym dziedzictwem Attilio Begeya, który na turyńską glebę, zdawałoby się pozornie mało podatną dla mistycznych dociekań, przeszczepił metafizykę litewskiego mesjasza.

Wizyta ambasadora Kota w Turynie była czymś więcej niż kurtuazyjnym gestem przedstawiciela Polski wobec jej przyjaciół. Ten wojaż ambasadora nowej Polski i uczonego o światowej sławie do Turynu był odnowieniem przymierza między Turynem a demokratyczną Polską, był żywą kontynuacją tych związków politycznych i kulturalnych, których ukoronowaniem była współpraca Mickiewicza z Mazzinim, spontaniczne manifestacje wolnych Włochów pod mediolańskim domem polskiego poety, polonofilskie zabiegi Attilio Begeya. Zgodność interesów wolnych Włoch i wolnej Polski podkreślił ambasador Kot w jednym ze swoich przemówień. „Piemont i Turyn — mówił ambasador — były podczas Risorgimenta nie tylko schroniskiem dla wielu wygańców polskich, ale również żywotnym ośrodkiem współpracy w walce o wolność i zjednoczenie Włoch. Sprawa polska znalazła w Turynie w ubiegłym wieku zrozumienie, sympatie i współczucie. Cavour uczęszczał na wykłady naszego wielkiego poety Adama Mickiewicza w Collège de France, by lepiej zrozumieć zagadnienie słowiańskie w ogóle, a w szczególności problem Polski. Przed powstaniem 1863 roku w Cuneo powstała szkoła wojskowa dla młodych patriotów polskich. Na przestrzeni pół wieku sprawy polskie związane były w Turynie z nazwiskiem Attilio Begeya. I kiedy nikt nie wierzył w odrodzenie naszej ojczyzny, Attilio Begey nawet na chwilę o tym nie zwątpił i przez dziesiątki lat starał się zainteresować Polską opinię publiczną, oddziaływał w tym duchu na prasę i bronił uparcie naszej sprawy... W roku 1925 przyjechałem po raz pierwszy do Turynu, żeby poznać tego dziwnego człowieka. Liczył wówczas 83 lata, ale z całej jego postaci promieniowała zadziwiająca młodzieńczość. Spytałem go, czy jego stanowisko — honorowego konsula Polski — nie jest dlań ciężarem. Zamiast odpowiedzi zaprowadził mnie na balkon i pokazał sztandar polski powiewający obok godła konsulatu. „Widzi pan — powiedział do mnie — tylu ludzi uważało mnie za szaleńca, więc teraz chcę im pokazać, że nie ja byłem wariatem i utopistą. Polska jest".

INSTYTUT KULTURY POLSKIEJ

Ale wróćmy do „Instituto di Cultura Polacca Attilio Begey", który mieści się w Palazzo Carignano. Prezesem Instytutu, jak już wspomniałem, jest każdorazowy rektor uniwersytetu, obecnie p. Allara, profesor prawa cywilnego. Duszą instytutu są panie Marina Bersano-Begey i dr Cristina Agosti.

Pani Marina jest wnuczką Attilio Begeya. Matka pani Mariny przetłumaczyła na język włoski wiele arcydzieł literatury polskiej i jest autorką rozprawy o Franciszce Krasińskiej. Pani Marina, uczennica profesora Chrzanowskiego, pod którego kierunkiem odbywała w Krakowie studia polonistyczne, jest autorką m. i. prac o Miłkowskim i Towiańskim. Obecnie jest docentem języka i literatury polskiej oraz sekretarką Instytutu.

Jeszcze przed wojną przygotowała do druku bibliografię poloników włoskich (od roku 1800 po dzień dzisiejszy), obejmującą trzy tysiące pozycyj. Bibliografia ta daje pełny obraz poczytności polskiej literatury we Włoszech. Okazuje się, że np. „Quo Vadis" Sienkiewicza jest we Włoszech najbardziej po Biblii poczytną książką. Dotychczas ukazało się ponad dwadzieścia jej przekładów. Niestety, trudne warunki wydawnicze we Włoszech uniemożliwiają wydanie bibliografii. Praca jej „Mickiewicz jako polityk" ukaże się nakładem firmy wydawniczej UTET w Turynie.

Jeden z wychowanków Instytutu, p. Dino Chiavazza, jest autorem świetnej rozprawy pt. „La fortuna di Mickiewicz in Italia" („O losach Mickiewicza we Włoszech"). I ta praca napisana ze znawstwem przedmiotu, pozostaje niestety w rękopisie. Należałoby ją ogłosić drukiem zwłaszcza w związku ze zbliżającym się rokiem jubileuszowym (1948) i planowanymi uroczystościami mickiewiczowskimi w Rzymie. Dr Chiavazzo ponadto opracowuje monografię o Mickiewiczu, przeznaczoną dla Włochów.

Trwałe rezultaty pozostawiła praca wieloletniej lektorki Instytutu pani Zofii Kozarynowej, wnuczki T. T. Jeża, a córki wybitnego historyka Franciszka Rawity-Gawrońskiego. Pani Kozarynowa wydała nakładem Instytutu w roku 1939 doskonale opracowany podręcznik do nauki języka polskiego liczący 660 stron „La lingua polacca, gramatica, esercizi, letture". Świetne to opracowanie metodyczne i celowy wybór tekstów (m. i. utwory Tuwima, Nałkowskiej).

Niestety cały nakład został podczas wojny zbombardowany. Dziś ani jednego egzemplarza nie ma w obiegu księgarskim.

Pracowite miasto Turyn pierwsze stanęło do czynnej współpracy kulturalnej polsko-włoskiej.

Roman Brandstaetter

Szkoła krytyków

RYBY I CHOREOGRAFIA

W felietonie „Szkoła niewidomych krytyków" („Tygodnik Warszawski", nr 19) K. Z Skierski powraca do kwestii, która przed dwoma miesiącami stała się powodem krótkiego spięcia pomiędzy nim a niżej podpisanym (por. „Budżet pisarza i płynąca stąd groźba", „Tygodnik Warszawski", nr 6 oraz „Bogaćcie się, Polacy", „Odrodzenie" nr 10). Sprawa ta nie jest przedawniona. Wymowa cyfr brzmi dzisiaj jeszcze groźniej aniżeli dwa miesiące temu i dlatego chętnie dyskusję na nowo podejmuję.

Czynię to, chociaż użyte przez Skierskiego argumenty nie budzą przeświadczenia, czy mój adwersarz w ogóle zapamięta to, co napiszę. Sytuacja bowiem przedstawia się całkiem jak w znanej anegdocie o rozmowie dwóch głuchych. Pójdziemy na ryby? — pyta pierwszy. — Nie, bo właśnie idę na ryby. — Szkoda, bylibyśmy razem poszli na ryby.

Oto dowody.

Skierski najpierw stwierdza, a później groźnie mnie zapytuje: „Umowy handlowe Polski być może że jeszcze w tym roku pozwolą na tłumaczenia i wydawania współczesnych pisarzy obcych. Zacznie się lawina książek autorów amerykańskich, angielskich, czeskich, francuskich. Pójdą prawdopodobnie one tak szybko, jak w roku ub. szedł każdy polski autor, i oto zachwiany budżet pisarza polskiego. Czy kjw nie widzi tego problemu? Czy nie pomyślał, że i on sam będzie wówczas zagrożony osobiście?".

Pomyślał, i to dawniej aniżeli Skierski. W numerze 3 „Odrodzenia" z dnia 19.1.1947 r., w felietonie zatytułowanym „Za kilka miesięcy" było napisane: „Przekłady zaczną się pojawiać. Ani nam nie wolno się uchylić od tej konfrontacji z piśmiennictwem innych narodów, ani też, gdybyśmy na mocy jakichś zarządzeń reglamentacyjnych odmówili czytelnikowi tłumaczeń, nie napędzimy go do czytania książek jakich czytać nie ma zamiaru. Jak ta konfrontacja wypadnie, czy wytrzyma ją obecna twórczość prozatorska... to sprawa bardzo a bardzo ciemna".

Skierski pisze: „Zbliża się kryzys polskiej książki. Rok ten będzie dla niej ciężki. Stanie się to zarówno z przyczyn społecznych, jak i ekonomicznych".

W numerze 16 „Odrodzenia" (20.IV), w felietonie pod tytułem „Przednówek" można było przeczytać: „Obecny przednówek zapowiada się szczególnie przewlekle i niebezpiecznie. Ponieważ operujemy terminami wydawniczymi, a zatem od wielkich świąt do następnych wielkich świąt, przepowiadam niniejszym uroczyście, że podczas pierwszych śniegów trwać będzie nadal. Przepowiadam uporczywie... że czas próby dla obecnego piśmiennictwa dopiero nadchodzi".

Więc cóż, panie Kazimierzu Zenonie? Pójdziemy na ryby? Ale po drodze niech pan odwoła słowa, że wyłącznym zadaniem kjw jest „pofelietonizować, ośmieszyć, prześliznąć się obok zagadnienia". A na drugi raz, zanim pan coś podobnego będzie miał zamiar o nim napisać, proszę go najpierw trochę uważniej poczytać, chyba że pan lubi gromy, które zmieniają się w bumerang!

Pozostaje sprawa inicjatywy prywatnej w dziedzinie księgarstwa. Najpierw wyjaśnienie leksykalne. Co znaczy słowo samopas użyte, gdy mowa o ruchu wydawniczym? Słowo samopas oznacza, że — przeciwnie aniżeli Skierski — jestem przekonany, że obecny rynek wydawniczy, gdyby opierał się wyłącznie na inicjatywie prywatnej, (tak po stronie produkcyjnej — wydawcy, jak konsumcyjnej — odbiorcy i czytelnicy) a nie na spółdzielniach wydawniczych już dzisiaj, sieci bibliotek, świetlic — w najbliższej przyszłości przedstawiałby się znacznie gorzej dla pisarzy, niż się przedstawia obecnie. Pod wieloma względami, od finansowego poczynając.

Przede wszystkim wyglądałby gorzej, jeżeli chodzi o czasopisma literackie. Skierski nie wierzy? A czy kariera „Znaku" niczego mu nie mówi? Słowo skandal, którym posługuje się „Tygodnik Powszechny" na określenie stanowiska katolickiego społeczeństwa polskiego wobec jedynego katolickiego miesięcznika literackiego i problemowego, też mu nie mówi, jakbyśmy wyglądali, gdyby tylko dobra wola czytelników wspierała pisarzy? Te proste wnioski oznacza słowo samopas.

Irzykowski już w „Palubie" pisał o tym, że u wielu osób fakty leżą obok siebie, ale absolutnie się ze sobą nie łączą. Nazwał to fenomenem niepoprzebijanych ścianek. U mojego przeciwnika ścianka główna trwa nadal, chociaż usiłowałem ją podważyć na przykładzie jego własnego rozumowania. Skierski znów pisze: „podstawą ruchu wydawniczego i księgarskiego jest zawsze ten pojedynczy czytelnik, a więc — wolny wybór". I zaraz potem jako główne lekarstwo: ustawa biblioteczna, 10.000 obowiązkowych egzemplarzy. Czyli właśnie nie wolny wybór, czyli właśnie ustawa powołująca do życia określone instytucje, czyli właśnie to, na co daremnie usiłuję Skierskiego naprowadzić.

Istnieją również inne sposoby organizacyjnego łączenia zasady wolnego wyboru z planowaniem w dziedzinie wydawniczej, takiego łączenia, że czytelnik w sposób zorganizowany będzie otrzymywał to, co ze względu na swoje przekonania otrzymywać pragnie. W „Tygodniku Powszechnym" przypomniano niedawno amerykańską instytucję klubów książki, ale mało kto pamięta, że również u naszych najbliższych sąsiadów, bo w Czechosłowacji takie kluby książki doskonale zdały egzamin i wywierają duży wpływ na wygląd rynku wydawniczego. Zamiast więc narzekać i insynuować, czy nie prościej pamiętać o cudzym, łatwym do naśladowania doświadczeniu?

kjw

Wśród wydawnictw

Zaranie Śląskie Z. 3 — 4 1946 Katowice, Instytut Śląski; str. 143.

Z półrocznym prawie opóźnieniem ukazał się wreszcie podwójny zeszyt „Zarania Śląskiego", zamykający rocznik siedemnasty. Przynosi on 16 artykułów i recenzyj, dotyczących przeszłości i teraźniejszości Śląska, oraz wiersz Wilhelma Szewczyka pt. „Geneza poezji". Poza tekstem mamy 15 ładnych reprodukcyj, pokazujących ruiny zabytków architektonicznych Wrocławia.

Interesujące są notatki historyczne dra Józefa Skoczka o mieście Brzegu, Witolda Włodzimierza Głowackiego o pierwszych aptekach polskich na Śląsku w okresie średniowiecza, Mariana Tyrowicza uwagi o cechach r. 1846 na Śląsku i Alfreda Kucnera o powstaniu „Straży" w Poznaniu w 1905 r. i oddziaływaniu jej na Śląsk. Prof. Kolbuszewski podaje kilka cennych szczegółów z hagiografii Śląska, a prof. Pollak ciekawie uzupełnia „Rożdzieńciana". Przedruk interesującego druczku „Prośliccy, abo jak Pon Wilhelm Koelling byli dwanaście lot pasterzem w Prośliczach", rodzaju żywota poczciwego pastora polsko-śląskiego zboru w XIX w. — jest zasługą prof. Mikulskiego. Dwa szkice literackie Z. Hierowskiego, rzecz Bolesławy Heczko Muszyny o nieznanej korespondencji śląskiej Jana Kasprowicza, Stanisława Bąka prace dialektologiczne na Śląsku przed Malinowskim i kilka jeszcze drobiazgów uzupełnia ciekawy zeszyt kwartalnika.

Zeszyty Wrocławskie. Kwartalnik krytyczno-literacki. 2. Wrocław, 1947; str. 128.

Energiczne Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu, gromadzące co czwartek licznych słuchaczy na zebraniach literackich, wydało drugi zeszyt kwartalnika. Tym razem na czoło wysuwa się literatura piękna. Wojciech Żukrowski, który się osiedlił we Wrocławiu, ogłasza nowelę pt.: „Koła", o radzieckim oficerze Mikołaju Kłyczkowie, który w czasie walk partyzantów polskich z ukraińskimi bandami nacjonalistycznymi w okolicy Lwowa zyskał sobie serdeczną popularność. Anna Kowalska, redaktor kwartalnika, w noweli „Czerwone rękawiczki" wzrusza nas historią Marynki, rozbudzonej przez pracę w świetlicy, a potem srodze zawiedzionej. Tadeusz Borowski pokazuje „Chłopca z biblią" w warszawskim więzieniu. Trzy szkice literackie: Jerzego Kowalskiego o człowieku, Juliana Krzyżanowskiego o dwu obrazach słownych i Tadeusza Mikulskiego o „biednym Mazurzynie", Teofilu Lenartowiczu, są na dobrym poziomie literackim. Kwartalnik demonstruje przekonywająco rozrost sił polskich w odzyskanym mieście i wznowienie pięknych jego tradycyj.

Stefan Papée

Poezja — katastrofalna

Aleksandra Titzowa. Słowa na wietrze. Wadowice, 1946; str. 93 i 3 nl.

W tomiku tym zebrała autorka kilkadziesiąt rymowanych utworów, dotyczących różnych okoliczności jej życia prywatnego. Pewna ich część ma się ukazać jako „Cykl pieśni solowych z towarzyszeniem fortepianu — skomponowanych przez J. E. Titza". W tej roli prezentują się nie gorzej i nie lepiej od większości swego licznego towarzystwa:

Zaczęło się tak, najprościej:
jednym uśmiechem spod rzęs.
Nikt nie przeczuwał miłości,
bo flirt ma także swój sens.
(Kwiat szczęścia)

Wartość poetycka utworów jest dość nierówna: mieści się w granicach między poprawnością wierszy sztambuchowych sprzed 60—70 lat a prymitywem absolutnym. Z socjologicznego punktu widzenia zasługują one na pewną uwagę: są wprost klasyczne banalnością sformułowań i łatwizną formalną:

Morze — obłędna tęsknota,
zaklęta marzeniem wśród fal.
Morze — to bajka ze złota.
Morze to słońce i dal.
(Morze)

W zbiorku dostrzega się dość szerokie oczytanie autorki i „plastyczność" jej stylu poetyckiego: z jednakowym powodzeniem partaczy ona „pod" Słowackiego i Asnyka, pod Kasprowicza i Skamandrytów. Wyrządza im zresztą złą przysługę: wiersze jej znakomicie demaskują wszystkie słabe strony tych literackich wzorów (np. stylizowany prymityw Kasprowicza z okresu „Księgi ubogich" czy afektowany witalizm Skamandrytów. Sumienność każe zaznaczyć, że uważna lektura książki pozwala od czasu do czasu dostrzec wśród stert słownej plewy przebłyski poezji:

Wiosna.
Wykup z zastawu snów.
Jakimże słowem sprostać
maleńkiej kiści bzu?

Jest to pierwsza zwrotka utworu p.t. „Wiosna". Niestety druga brzmi już:

Serce me bije tętnem pytań,
dusza zdumiona oczy szerzy
na tajemniczą moc rozkwitań,
a z ust się snuje sznur pacierzy...

We wstępnym utworze pani Titzowa pisze o sobie:

Spóźniłam się ze swym przyjściem
o jakie dobre trzy wieki.

Zdaje mi się, że pani Titzowa jest optymistką i swe opóźnienie pomniejsza.

Jan Koprowski. Poezje dla Ciebie. Wydanie drugie. Bad Harzburg, 1946; str. 27 i 1 nl.

Szkoda, że pan Koprowski nie pozostał wierny obranemu tytułowi. „Poezje dla Ciebie" powinny były zostać wyłączną własnością tej, dla której zostały napisane. Osoba postronna czyta zapewnienia o miłości i szczęściu z zażenowaniem, opisy erotycznych zachwytów i tęsknot z niesmakiem, pretensjonalne dywagacje na temat „Wszystko mija, ach powiedz — czemu wszystko mija?" i tp. — ze zniecierpliwieniem, a pełne skromności słowa: „Potomni stracą wiele nic nie wiedząc o mnie" — z pewną dozą niedowierzania.

Ratują zbiorek dyskretnie rozmieszczone akcenty mimowolnego humoru:

Nie gniewaj się i nie złość, to
nieładnie się złościć,
Ludzie będą dziś mówić źle o
naszej miłości.
A my przecież nie chcemy, by
źle o nas mówiono,
Że się oto posprzeczał Jan z
Felicją — swą żoną.

Osobliwością tomiku są dwa wiersze napisane przez poetę do syna i córki, jeszcze nienarodzonych. Czytamy tam między innymi, że córka, której ojciec ma dać imię Dalila (chyba po to, żeby się ku niej każdy kwiat nachylał)

będzie mieć jasne, wiosenne
oczy
i dwa czarne połyskliwe jak
toń wody warkocze,
a w warkoczach wpięte bławaty
oraz inne cudowne kwiaty.

Przyszłym historykom literatury pozostawia się do rozstrzygnięcia zagadnienie, czy strofa ta pozostaje w genetycznym związku ze sławnym dwuwierszem Boya:

Oczy miała jak bławatki
i na sobie różne szmatki.

Elwil Oblusat W. L. Błękitny pielgrzym. Warszawa, 1946; str. 24.

Jest to poezja częstochowskich rymów i słów jak największych, jak najgłośniejszych i jak najbardziej ograny ch: tęsknoty nieskończonej, męki straszliwej, żaru piekieł, blasku nieba, wycia wichrów, grzmotu piorunów, otchłani smutku i dali także nieskończonej. Ból i krew, skargi i łzy, rozpacz i zemsta harcują po tych ponurych i mętnych wierszydłach opiewających prometejskie wzloty i upadki „błękitnego pielgrzyma". Niestety p. Oblusat nie ogranicza się do opisywania tego jak:

Mózg — poznania żądzą oszalały
Jaźń całą moją i świadomość
zmąca!
Serce mi żłobi granitowe skały—
A żarem bólu w krew się wsącza!

Równie złe wiersze pisze o tragedii Warszawy, przy czym zdobywa szczyty poetyckiego nietaktu i złego smaku. W tekście do pieśni (raczej piosenki) o Warszawie czytamy:

Warszawo, uśmiechem rozkwitła promiennie,
Pamiętna z dawnych wiośnianych szat —
Dzisiaj, choć w zgliszcza przybrana odświętnie
Nowy przebojem zdobywasz świat!

Z wysokiego diapazonu całości z ulgą zstępujemy na „fale wspomnień", które gwoli uciechy czytelników i z myślą o tygodniowej nagrodzie Camery obscury — pozwolę sobie przytoczyć:

Płyń barko kariery, wiatrem
protekcji pchana!
Płyń kolebko bezcenna, wodą
mózgów spryskana!
Niechaj cię fala pracy omija,
A bałwan czynu o dziób twój
rozbija!
Ty, dumnie niosąc, dźwięczną
pustką dęty,
Swój brzuch kadłubi płodny,
ludzkimi oblepiony męty—
Na trud obojętna i łzy wartości,
Dostojna zaś w głupocie, którą rozum złości —
Płyniesz spokojna — a tym
wspanialszym portem cię nęcą,
Im gęściej na twym pokładzie,
dzielne „majtki" się kręcą!

P. S. Należy już do obowiązku recezenta, by omówienia tego rodzaju zamykać pełną oburzenia apostrofą do „czynników właściwych" i „miarodajnych", dlaczego marnuje się na takie publikacje papier, kiedy brak go na podręczniki szkolne. Co też niniejszym czynię odsyłając po szczegóły retoryczne do licznych artykułów moich poprzedników.

Henryk Markiewicz

Robotniczy Przegląd Gospodarczy
Ukazał się numer 5 — 1947 r.

o następującej treści:

Przed plenum KCZZ — *W. Sokorski:* Na marginesie wyborów do władz związkowych. — *J. Kofman:* Centralne zadania gospodarcze. — *S. Nahlik.* Terapia demograficzna. — *Z. Gross:* Pamiętniki robotników. — *W. Kuźniecow:* Umowy zbiorowe w ZSRR. *M. Krasocki:* Organizacja zatrudnienia. *I. Epsztejn:* Społeczne znaczenie umów zbiorowych.

Przeglądy:

Na froncie odbudowy: Plan inwestycyjny na rok 1947 *Cz. Kulikowski* — **Nowe książki:** Odbudowa gospodarcza świata: *Jan Rosner.* — *H. Jabłoński:* Opinia Parlament Prasa: *Z. G.* — **Ruch związkowy w Polsce:** Niefachowe uwagi — zamiast sprawozdania o Festiwalu (ocka) — Z życia związków zawodowych — **Światowy ruch związkowy** Ruch związkowy w Szwecji: *T. Tan* - Finlandia, Francja, Hiszpania, Palestyna, — **Przegląd Gospodarczy:** Wiosna 1947: *J. P.* Gospodarka Czechosłowacji: *A. Kaduszkiewicz* — Polska — **Nowe wydawnictwa:** Czasopisma związkowe.

Cena zł. 30.—

Adres redakcji i administracji Warszawa, Al. Przyjaciół 9 P. K. O. Nr. 1-1055 Warszawa K 176-1

W poprzednim 21 (130) numerze „Odrodzenia" z dnia 25 maja: **Leon Kruczkowski:** Spotkania i konfrontacje. — Z pobytu pisarzy czechosłowackich w Polsce. — **Paweł Hertz:** Mała oda. Pokrewieństwa z wyboru. Tren. — **Adam Schaff:** Dyskusja o humanizmie socjalistycznym. Odpowiedź prof. Chałasińskiemu. — **Kazimierz Wyka:** Obrona van Meegerena. **Aleksander Janta:** Kronika literacka USA. — **Marian Jachimowicz:** Ptak biały. — **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie. Powieść (18). — **Jan M. Nowak:** Życie w USA Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia". — **Tadeusz Kubiak:** Esterka. — **Artur Sandauer:** Poezja pozoru. — **Tadeusz Borowski:** Apologia lumpenburżuazji. — **kjw:** Szkoła krytyków: Nowe sprzysiężenie, tym razem ciotek. — **Gabriel Karski:** O wybrykach ob. A.A. — **Helena Wielowieyska:** List z Krakowa i do Krakowa. — **Juliusz Żuławski** (rysunki **Jerzego Zaruby**): Listy z Łodzi. — **Konstanty Puzyna:** Kronika kulturalna Wybrzeża. — Tydzień bibliograficzny. — **Tadeusz Peiper:** Dwa filmy szwajcarskie.— Kronika francuska. — **Nemo:** Plotki, plotki... — „Siostry" Krystyny Grzybowskiej. — Camera obscura. — **Król Herod:** Rubryka nr 47.— 12 ilustracji. — 8 stron.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

JAN KOTT - O społecznym awansie, str. 30 zł. 50.—

(Autor broszurki stwierdza, że jedną z najważniejszych zdobyczy demokracji ludowej jest możliwość awansu społecznego każdej jednostki świata robotniczego i chłopskiego)

K 174-1

• CZYTELNIK •

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Już ukazały się na półkach księgarskich

ANTONI GOŁUBIEW
CYKLU POWIEŚCIOWEGO
• BOLESŁAW CHROBRY •
KSIĘGA PIERWSZA
PUSZCZA
*
STRON 426
ZŁ 650.—

ANTONI GOŁUBIEW
CYKLU POWIEŚCIOWEGO
• BOLESŁAW CHROBRY •
KSIĘGA DRUGA
SZŁO NOWE
*
STRON 598
ZŁ 900.—

MIECZYSŁAW JASTRUN
POEZJE WYBRANE
Z PORTRETEM AUTORA
*
STRON 235
ZŁ 460.—

ADAM WAŻYK
WIERSZE WYBRANE
Z PORTRETEM AUTORA
*
STRON 125
ZŁ 280.—

W najbliższych dniach ukażą się

• PROSTE KSIĄŻKI O ZAWIŁYCH SPRAWACH •
SERIA PIERWSZA

TOM PIERWSZY
ROMUALD WILKOWSKI
ELEMENTY MATEMATYKI WYŻSZEJ
*
STRON 294

TOM DRUGI
BOGDAN KAMIEŃSKI
PROF. UNIW. JAGIELL.
ELEMENTY CHEMII FIZYCZNEJ
*
STRON 455

KURSY JĘZYKOWE „CZYTELNIKA"
A PRIMER *of* EVERYDAY ENGLISH
OPRACOWAŁ TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI
*
STRON 271

SŁOWNIKI PODRĘCZNE „CZYTELNIKA"
SŁOWNIK POLSKO-ROSYJSKI ROSYJSKO-POLSKI
OPRACOWAŁ WIKTOR JAKUBOWSKI
CZĘŚĆ DRUGA
POLSKO-ROSYJSKA
*
STRON 461

JULIAN TUWIM
WYBÓR POEZJI
1914 1939
Z PORTRETEM AUTORA
*
STRON 279

ANIELA GRUSZECKA
W GRODZIE ŻAKÓW
OPOWIEŚĆ
Z ILUSTRACJAMI
*
STRON 266

„MŁODOŚĆ POETY"

I

Nie poszli autorowie filmu drogą najłatwiejszą, nie filmowali biografii. Dla „Młodości poety" wybrali jeden okres Puszkinowego życia, taki, który pozwolił ukazać istotne cechy bohatera i wynikające z nich dramaciki życiowe — chłopięce jeszcze, ale zawierające w sobie zarodki przyszłego życiowego dramatu. Poznajemy Puszkina w tych płynnych latach, które każdym dniem przesączają chłopięctwo w młodzieńczość, które każdym rozdziałem przeczytanej książki, każdym rozdziałkiem przeżytego życia przenoszą duszę bogatą i wrażliwą w jej własną przyszłość.

Osobowość niezwykłego chłopca utkali autorowie filmu z rozkochania w pięknie i wolności, z patriotyzmu, ze śmiałych reakcyj na to, co dzieje się wokół niego, z garnięcia się do przyjaciół i z nieporozumień z nimi, z samotnych marzeń i rozmyślań, z bujnego temperamentu i z... wyglądu, który tak dalece nie przypomina nikomu Adonisa, że złośliwemu koledze nasuwa przezwisko „małpa". Wychowanek licealnego zakładu w Carskim Siole miewa ruchy i odruchy dziecka, sarkazmy i bunty młodzieńca, upodobania i śmiałości pączkującego poety, ale i wybryki „dzikusa". Autorowie filmu nie lękali się, żeby Puszkin lat licealnych mógł czymkolwiek, co jest prawdą tych lat, przynieść ujmę przyszłemu mieszkańcowi posągowych cokołów.

Kochając i wielbiąc swego bohatera, znaleźli we własnych uczuciach przesłanki na tyle silne, że pozwoliły im one pominąć pochodzenie społeczne Puszkina; nie zważali ani na zgodę, ani na niezgodę między jego reakcjami na sprawy dziejowe a klasą społeczną, z której pochodził; ba, w ogóle nie wprowadzili jego rodziców, choć mieli po temu okazję w zatargach niesfornego wychowanka z kierownictwem zakładu. Z czynników, rozstrzygających o osobowości i rozwoju wielkiego poety, uwzględnili książkę (Woltera), współżycie i współmyślenie z przyjaciółmi, ciasnotę i niesprawiedliwość otoczenia i piękno upostaciowane w poezji, w przyrodzie, w dziewczynie. Spojrzeli na Puszkina niezależnie od teorii, badali niezwykłe zjawisko w jego konkretności, odrębności. Osiągnęli wynik znakomity.

II

Aktor grający Puszkina godzien jest zapamiętania: Walentyn Litowski. Ogromne trudności, jakimi mogła onieśmielić aktora postać chłopca z rodu geniuszów, pokonał głębią i bogactwem środków ekspresji. W rzędzie najlepszych osiągnięć aktorskich umieścić należy niektóre ruchy warg i powiek i przedziwne uśmiechy; dzięki ich kunsztownym złożeniom przedzierają się poprzez najbardziej naturalną dziecinność promienie mężniejącego umysłu, równanie się z kolegami bierze w siebie górowanie nad nimi, wiek chłopięcy ukazuje, że dotknęły go już zadziory wielkiej przyszłości.

Inni aktorzy stawiają przed nami kilka wyrazistych typów, a w zarysach typowości — sporo interesujących i wartościowych momentów. Z troski o widza masowego pochodzi wpędzanie postaci ujemnych w przejaskrawioną karykaturę. Przejaskrawienie ma tu być ostrzegającym sygnałem: uwaga! typ czarny! Rolę sygnalizatora gra także nadmierna ważność, jaką otrzymują wszystkie wypowiedzi przedstawicieli carskich rządów — przesada, która ma zwracać uwagę widza na pychę owych dudków, z których każdy na swoim stopniu hierarchii przypisuje sobie ważność wszystkich swych przełożonych. Można jednak postawić pytanie, czy przypadkiem w tych przejaskrawieniach i przesadach nie działają nawyki z czasów filmu niemego. Bo przecie film mówiący daje dość sposobów, aby ujemność postaci całkowicie wystąpiła na jaw nawet wtedy, gdy stopień jej karykaturalności nie narusza proporcyj dzieła sztuki. Inna rzecz, że film sowiecki, rzucając na białe płótno karykatury, rzuca na nie niejedną wartość artystyczną. Żywym uruchomieniem karykaturalnych postaci, znanych z rysunków i grawiur, jest licealny guwerner, świetny szczególnie, gdy odcina się od tła profilową linią brzuchacza.

Spoza karykaturalności ma on kilka znakomitych twarzy, które osiąga przede wszystkim trafnością spojrzeń. W hrabiowskiej twarzy carskiego ministra zasługują na wzmiankę fenomenalnie wyćwiczone mięśnie.

III

W reżyserii zwraca na siebie uwagę egzaminowa deklamacja Puszkina. Trwa za długo i nie ma w sobie comian. Jako odmiana stanowczo nie wystarcza świetny szczególik z zakłopotaną ręką, szukającą oparcia na guziku. A trwanie deklamacji, skoro już ma się przeciągać, wymagałoby przerywania go tematami spoza miejsca uroczystości (np. tematem woźnego, podsłuchującego pod drzwiami, lub tematem pańszczyźnianej dziewczyny). Nie ulega wątpliwości, że reżyser „Młodości poety" dobrze to wie. Jeśli postąpił inaczej, to z kultu dla swego bohatera i z woli szerzenia tego kultu. Chodziło mu o to, aby poemat Puszkina o Carskim Siole brzmiał nieprzerwanie i utrwalił się w pamięci mas.

W zakresie dźwiękowości przynosi film próby, analogiczne do tych, jakie poczynił Renoir w „Marsyliance". Tupiące obcasy przemaszerowującej i oddalającej się gromadki uczniaków nie dają tu technicznego efektu tak daleko idącego jak w filmie francuskim, ale za to ich walor artystyczny jest wyższy. Ślizg po salonowo wyfroterowanej posadzce, złowieszczo wróżący przyszłe losy Puszkina, udał się dźwiękowo, charakterowo i „atmosferycznie", stanowi więc sukces artystyczny.

Akompaniament muzyczny ma jedną partię frapującą: gdy zamyślenia Puszkina wpijają się w „Kandyda" Woltera, gdy chłopca uwodzi już ostatecznie demon poezji i narzuca mu jego powołanie, słyszymy przez dłuższy czas, wzdłuż kilku obrazów, jeden tylko, ton, jeden jedyny, ton brzęczenia czy dudnienia, uporczywy głos głębi i tajemnicy.

Krajobrazy — zgodnie z charakterem bohatera — są romantyczne, więc typu spospolitowanego na ekranach. Ale jak muzyka, tak i one otrzymują dawki nowatorstwa. Gdy Puszkin, wzburzony dopiero co przeżytym rozczarowaniem, gna opętańczo wśród drzew, przelot listowia przechodzi w ruch kształtów niemal bezprzedmiotowych; powstają obrazy nierealistyczne, ale dają się umotywować realistycznie. W innej sytuacji zamyślenia Puszkina zaznaczone są mętnością drzew (...nie widzi ich, przebywa w samym sobie...) lub na odwrót plastycznością najwyższej siły (...przenika rzeczywistość na wylot...), i w tym właśnie drugim wypadku kilka drzew pojawia się w ujęciu trójwymiarowym, ukazując wyniki sowieckich poszukiwań w dziedzinie filmu plastycznego. Stajemy wobec nowej przestrzeni ekranowej i wybiegamy myślą na przyszłe drogi ekranowej sztuki.

Tadeusz Peiper

„The Saturday Evening Post"

— Najgorszy kompleks Napoleona, jaki kiedykolwiek widziałem!...

Turek Turka...

Według świadectwa wiarogodnych dziejopisów, Polacy i Turcy, po z górą dwuwiecznych bojach, tak upodobnili się do siebie w strojach, w metodach walki i rodzajach broni, że pod Wiedniem trzeba było specjalnych znaków, odróżniających jednych od drugich, żeby Turek nie rąbał Turka, a Polak Polaka. Przyszło mi to na myśl, widząc jak profesor Chałasiński poszturkuje Schaffa na łamach „Odrodzenia". O tym samym myślałem, kiedy Turowicz zwymyślał Kisielewskiego za sympatie do kapitalizmu. Bez mała odsiecz wiedeńska. Nie wiadomo kto naciera, a kto przybywa z odsieczą. Sytuacja tym komiczniejsza, że o ile katolicy marksizm raczej anektują, niż anulują, o tyle prof. Chałasiński stawia na marksizmie... k r z y ż. — „Marx nie dał nigdzie teorii kształtowania się społeczeństwa po przezwyciężeniu kapitalizmu. Marx nie dał teorii planowania gospodarczego i społecznego". Sądzę, że te pretensje prof. Chałasińskiego pod adresem Marxa są co najmniej nieporozumieniem. Bo dlaczego nie żądać od Marxa teorii społeczeństwa do końca świata?

Marx nie był Jezajaszem i nie prorokował o „ostatecznych dniach". Tylko religia ma swoją eschatologię. Marksizm ją wyklucza. Bo żadna teoria o przyszłości, nie tylko ostatecznej, nie może się oprzeć o dzisiejszy stan nauki, obowiązujący dla marksistowskiej t e o r i i kształtowania się społeczeństwa. Teorii, ale nie m e t o d y. Metodę można stosować dalej, o ile się oczywiście akceptuje materialistyczne pojmowanie dziejów, po prostu materializm dialektyczny, czyli marksizm. Kto chce wiedzieć dzisiaj, co będzie w przyszłości, niech czyta Apokalipsę, albo prześl dwadzieścia złotych znaczkami pocztowymi do Wacława Pyffelo, Warszawa, Bednarska 8.

Jeżeli się metodę marksistowską utożsami teorią społeczeństwa kapitalistycznego, jak to czyni profesor Chałasiński, jasne, że wraz z kapitalizmem upadnie i marksizm, jak jemioła wraz z drzewem, na którym rośnie. Rozumiem też dobrze pesymizm prof. Chałasińskiego, który przy takich założeniach obawia się po totalizmie hitlerowców—totalizmu innej grupy. Ale jakiej? Czy amerykańskich kapitalistów, czy upartych marksistów, którzy nie chcą zrozumieć, że marksizm upadł; zrobił swoje i może odejść?

Ciekawa rzecz, że w naszych atomowych czasach dwie grupy, zdawałoby się skrajne, zwalczają pesymistyczny sceptycyzm i katastrofizm. Marksiści i katolicy. Tylko te dwie grupy wierzą, że świat idzie ku lepszemu. Na przekór bombie atomowej, albo właśnie dzięki niej. Inni widzą tylko chaos, swój program społeczny ograniczają do pobożnego życzenia by w chwili zrzucenia bomby atomowej znaleźć się po stronie zrzucających. Bardziej humanitarni modlą się o nawrót do rękodzieła, średniowiecznych cechów i sąsiedzkiej moralności wiejskich zagród. Niestety. W dobie atomowej konieczna jest moralność sąsiedzka całych kontynentów. A tej należy szukać drogą planowania gospodarczego w skali światowej, wychodząc z potrzeb dwóch miliardów ludzi. Do takich wniosków prowadzi materializm dialektyczny, który na przekór prof. Chałasińskiemu, nie pozwala się utożsamić z teorią społeczeństwa kapitalistycznego.

I tak, stosując m e t o d ę marksistowską stworzono teorię, której Marx nie dał i nie mógł dać, t e o r i ę p l a n o w a n i a g o s p o d a r c z e g o w społeczeństwie pokapitalistycznym.

Przeciwnicy marksizmu powitali artykuł prof. Chałasińskiego z radością, która szybko jednak ustąpiła miejsca katastroficznemu pesymizmowi. Nie było, oczywiście, powodów ani do radości, ani do pesymizmu.

Po prostu, w i e l e c h a ł a s u o n i c!

Jan Rojewski

RUBRYKA Nr 47

LOCH NESS

W związku ze zbliżającymi się „ogórkami" wąż morski z Loch Ness wyjdzie niebawem w drugim wydaniu z portretem autora.

CZY ZWIERZĘTA MAJĄ DUSZĘ I PODŚWIADOMOŚĆ?

Słynny słoń londyńskiego Zoo Tobiasz Bingo nie tylko że popadł w melancholię po śmierci swojego pana, ale również położył trąbą trupem pastora Dodsona, który w niedość pochlebnych słowach wyraził się o zmarłym, nazywając go m. i. „tragicznym pachołkiem alkoholu".

W ATMOSFERZE WOLNOŚCI

Na wydziale ichtiologicznym Uniwersytetu Bats-in-the-Belfry (Indianapolis) amerykańscy uczeni wyhodowali rybę długości 48 km. Jest to rekord światowy amerykańskiej ichtiologii progresywnej.

Oczywiście, że tego rodzaju osiągnięcia możliwe są tylko w atmosferze prawdziwej wolności.

ASPOŁECZNE FIGLE

W Krakowie pojawił się koń, który we dnie zaczepia przechodniów, a noce spędza na dachu.

Król Herod

Z POŚMIERTNEJ TEKI KITTY KOWALSKIEJ

„RYTMICZNE PROZY"

XCII. CYTRYNOWY CHŁOPIEC

Cytrynowy chłopiec nie chciał się ze mną spotkać przy źródle, Charyty. Była to wprawdzie budka z wodą sodową, ale podaję tak dla mitologizacji.

A dlaczego tak się wszystko stało, jak się stało, czyli że Cytrynowy Chłopiec powiedział, że już nigdy i odszedł na zawsze, do dzisiaj kompletnie nie wiem. I dlatego jestem jak szkatułka z mahoniu, której nie należy otwierać bez pukania.

O, nie otwierajcie mnie! Pytałam pszczoły, co o tym myśli de facto, powiedziała: nie wie i odleciała, brząkając. Pytałam kanarka, stworzenie analogicznie fruwające. Bez skutku. Pytałam strasznego słonia, co kły ma na pustyni. Zatrąbił i odfrunął.

Cytrynowy chłopczyku, gdzie jesteś?

Pamiętasz: mówiłam: zapuść wąsy. Nie zapuściłeś. Mówiłam: pogłaszcz mnie dojmująco. Dojmująco nie pogłaskałeś. Prosiłam: pobujaj mnie cichutko na **rocking-chair.** Nie pobujałeś.

Mgła wschodzi nad polami.
Patrzę w okno.

A na stole, jak na obrazie de Subjonctifa w Galerie des Beaux Arts, leżą nieruchome, zastygłe w tragizmie na marmur twoje ulubione parówki z chrzanem.

Cytrynowy chłopcze, czasem mniemam, że jesteś po prostu dużą cytryną,

KTÓREJ
ROZKRAJAĆ
NIE MAM
SIŁY.

Herod the King

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

OŚWIATA, WYCHOWANIE

Irena Merżan. Moja praca w domu dziecka. Z przedmową **Ireny Chmieleńskiej.** Okładkę projektował **K. Witkowski.** Warszawa, „Książka", 1947; str. 95 i 3 nl. — 150 zł.

ARCHIWISTYKA, BIBLIOLOGIA, MUZEALNICTWO

Statut saveza knjizevnika Jugoslavije. Beograd, „Prosveta", 1947; str. 15 i 1 nl.

Radovan Zogobjit'. O naszoji knizevnostji njenem polozaju i njenjim zadacjima danas. Referat na Prvom kongresu knizevnika Jugoslavije. Beograd, „Kultura" 1946; str. 40 i 4 nl.

LITERATURA

Władysław Broniewski. Komuna paryska. Rysunki **Władysława Daszewskiego.** Warszawa, „Książka", 1947; 20 knl. — zł. 100.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. **I. Mikołaj Rej.** Wybór pism. Opracował **Stanisław Adamczewski.** Warszawa, „Książka", 1947; str. 144 i 4 nl. — zł. 100.

Aleksy Tołstoj. Czarne złoto. Powieść. Przełożył **Wacław Rogowicz.** Warszawa, „Książka", 1947; str. 398 i 2 nl. — zł. 500.

PRAWO, ADMINISTRACJA

Ustawa o amnestii z dnia 22 lutego 1947 roku. Opracowali **B. Ołomucki** i **J. K. Cisek.** Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1947; str. 51 i 5 nl.

POLITYKA

Gage d'une Paix durable. La frontière occidentale de la Pologne. Bruxelles, Amitiés Belgo-Polonaises, 1947; str. 76 i 4 nl.

Po konferencji Poczdamskiej (sprawa Polski na arenie międzynarodowej). Z przedmową **Jerzego Kowalewskiego.** Okładkę projektował **K. Witkowski.** Warszawa, „Książka", 1947; str. 59 i 5 nl. — zł. 60.

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

„Mathesis Polska" dla Młodzieży. 300.000 km/sek. z Drem Wszędobylskim. Napisał Dr. **Wszędobylski.** Wydanie czwarte uzupełnione. Przełożył **Tadeusz Zawistowski.** Okładkę projektował **Mieczysław Berman.** Wyklejki projektował **Wład. Stańczykowski.** (Warszawa), „Czytelnik", 1947; str. XI i 1 nl. i 176 i 4 nl. i 59 tablic.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Franciszek Kos (Komorowice, pow. Biała Krakowska, nr. 488) za „Pokwitowanie"

WZRUSZONA WŁADZA

Nadesłano nam następujący dokument:

Komorowice, dnia 18.II.1947.

Pokwitowanie.

Kwituje się odbiur 200 zł. od ob. Kosa Franciszka zam. w Komorowicach Krak., który został ukarany za nieloalnę wpisywanie do książki służby wiejskiej różnych zdań, które to wzbudziły u władz wzruszenie.

Posterunek Mil. Obyw. w Komorowicach Krak. Kom. Post. M. O.
(—) Guzik Wicenty.

I rozpłakałaś się, władzo? Polały się twoje łzy czyste, rzęsiste na twój żywot sielski, milicyjno-obywatelski, na nieloalne zdania? I za te słodkie łzy jeszcze sobie płacić każesz? Nie ładnie.

TANT DE BRUIT!

— „Strasznie honorowe panowie, te faceci z „Dziś i Jutra". — jak powiedziałby ob. Piecyk; i miałby rację. Po prostu tzw. delikaciki z marymonckiej mąki. Nie wolno ich ruszyć — takie to czułe, wrażliwe, z miejsca obrażone, oburzone i zaperzone. Beniaminki, jedynaki, primadonny i mimozy. Był w Warszawie przed wojną aktor-komik, który słynął za kulisami m. i. z zabawnego zwyczaju, że gdy go kto niechcący potrącił, zastygał w tragikomicznej pozie, oczy wznosił do góry, jak Kościuszko na popularnym obrazku, i wołał z patosem: „Orła białego nie tykaj, zuchwały!!!" Był to nieodparcie śmieszny widok, zwłaszcza wtedy, gdy aktor ów nosił groteskowy kostium teatralny a charakteryzacją ani trochę nie przypominał królewskiego ptaka...

Panowie z „Dziś i Jutro" uważają się widać za nietylkalnych, jeżeli na niewinny żarcik „Camery" zareagowali w sposób, mówiąc łagodnie, przesadny. Było tak: w jednym z poprzednich numerów „Odrodzenia" ukazała się wzmianka następująca (przedrukowujemy ją w całości, aby czytelnicy sami osądzili, jaka jest skromna i łagodna):

OBYCZAJE MĘDRCA

Z pisma „Dziś i Jutro" (nr 14/15):

Ukazały się dwa numery „Nowin Literackich". Poza naprawdę imponującą szatą graficzną pisma trudno jest jeszcze coś bardziej realnego o nim powiedzieć, gdyż nie wiemy, czy płaszczyzna, jaką przyjęły „Nowiny", zostanie utrzymana i w jakim kierunku pójdzie rozwój pisma.

„Gdy mędrzec nie ma nic do powiedzenia, myślą jego jest „Nie wiem", usta jego milczą, a w księdze jego bieli się miejsce niezapisane" (Lao-Tse).

W odpowiedzi na ten dobroduszny (prawda?), czterowierszowy komentarzyk, „Dziś i Jutro" wyskoczyło z kilkudziesięciowierszową repliką. Pismu temu tak się Lao-Tse dał we znaki, jakby je mucha lao-lao tse-tse ugryzła. Są tam i „niemiłe chwyty" i „wyrównania porachunków" i „obskurny cameroman" i „złakomienie się na upieczenie dwóch pieczeń (?!) przy jednym ogniu" i „wykańczanie jednocześnie „Dziś i Jutra" i „Nowin Literackich" i „symptom upadku działu" i że „Szpilki" to robią dowcipniej i inteligentniej" i że „konkurencja zawodzi" i wierszyk Rexa Herodesa i „kuracja Woronowa, potrzebna starzejącym się poetom" i „Żołnierz Królowej Madagaskaru" i inne dowody nieposkromionej gadatliwości.

O co ten harmider, zaperzony chłoptasiu? My ciebie, skarbie, leciuchnym prztyczkiem w żółty dziobek, a ty w nas całym arsenałem takich zabójczych, unicestwiających nas piorunów? Gdzie sprawiedliwość? i o jakim to „wyrównaniu porachunków" mowa, serdeńko? I kto by tam was „wykańczał", skoro sami zrobiliście to tak gruntownie i solidnie? I gdzież w naszej wzmiance jest chęć „wykończenia" „Nowin Literackich"?

W tej samej replice autor polemizuje z fraszką J. St. Leca „Odpowiedź tygodnikowi „Dziś i Jutro", zamieszczoną w jubileuszowym numerze „Szpilek". Fraszka brzmi:

„Czytałem atak Wasz. No cóż — święcona woda,
Którąście mi z kropidła strzepnąć chcieli lekko.
Tylko, że kropidło łysawe było. Szkoda.
Bo pałkę widać było z zatkniętą żyletką".

Na to miły czupurek odpowiada:

...osnowa tej fraszki, jaką publikuje, jest zbyt stara, aby mieć dziś powodzenie, a koncept, jakim operuje nasz czcigodny przeciwnik, jest zużyty. To tak, jakby ktoś patrzył na rok 1947 oczyma człowieka z 1939, nie dostrzegającego wielu przemian.

Więc pałek i żyletek też nie wolno przypomnieć i wypomnieć? „Orła białego nie tykaj, zuchwały"?... Bo, proszę państwa, „przemiany nastąpiły", nawet „wiele przemian"... Niewątpliwie. Ale to wcale nie znaczy, że gdy się wydaje pismo „Dziś i Jutro", to już o „Wczoraj" ani słówkiem nie wolno się odezwać.

PRZEDWOJENNY TOWAR

Ogłoszenie w „Dzienniku Polskim" (26.IV):

Wydawcy tysiącwierszowego tomiku poezji szuka autor marki przedwojennej. Oferty (etc.).

Prosimy o przysłanie pocztą tzw. „próbki bez wartości".

KORAN

Z artykułu w „Głosie Pracy" (nr. 85):

Mojżesz oświadczył Żydom, że Bóg mu podyktował Koran.

Na to Żydzi oświadczyli Mojżeszowi, że buja.

NAZWA

Z artykułu „Dziennika Łódzkiego" (1.V) o tramwajach:

Po ostatniej wojnie, w r. 1945, instytucja Kolei Elektrycznej Łódzkiej, objęta została zarządem przymusowym miasta. Wreszcie w ubiegłym roku po sfuzjowaniu z przedsiębiorstwem tramwajów dojazdowych, instytucja otrzymała nazwę „Miejskie Zakały Komunikacyjne".

I nikt, jak dotąd, nie zaprotestował.

NAPOLEONIANA

„Głos Ludu" (nr. 110) w artykule „Ten, który poślubił narzeczoną Napoleona":

Napoleon znalazł się niebawem w Paryżu. Tutaj zapomniał o pięknej narzeczonej z Marsylii. Wszedł w wielki świat i poznał tę, która miała zostać pierwszą jego żoną, Josephinę de Beaumarchais.

Poznali się w teatrze, na sztuce p. Beauharnais „Wesele Figara".

Z tegoż artykułu:

Po bitwie trzech cesarzy pod Austerlitz otrzymał Bernadotte w dowód zasług tytuł marszałka i zrobił go księciem.

A już po paru godzinach mianował księcia arcyksięciem. Potem dał mu rangę króla, a następnie Boga Ojca. Samonominacje można kontynuować w nieskończoność.

OBNIŻENIE WARTOŚCI

Z pisma „Młodzi idą" (nr 18).

Z chwilą pojawienia się nowego czytelnika — szerokich mas społeczeństwa — zaczęto lekceważyć zewnętrzny wygląd książki. Masowość produkcji zabija jej piękno. B r z y t k i papier, niełady i źle odbity druk, obniżają zewnętrzną wartość książki.

Nie tylko brzytki papier, ale i bzytka korekta obniża wartość drukowanego słowa.

NIEBYWAŁY SUKCES

Ogłoszenie w „Dzienniku Polskim" (nr 128):

Wobec olbrzymiego powodzenia nieodwołalnie ostatnie przedstawienia świetnej operetki „Wiktoria i jej huzar".

Życzymy dyrekcji znacznie mniej olbrzymiego powodzenia i wielu jeszcze przedstawień.

JESZCZE O PROCENTACH

„Przekrój" (nr 110) w artykule „Przemysł Nr. 1":

Na przestrzeni od roku 1908 do 1927 potrafił Ford obniżyć cenę swych aut o przeszło 100%, czemu, jak również wysokiej ich jakości zawdzięczał niebywały rozkwit swych fabryk.

Ładny rozkwit, jeżeli do każdego auta dopłacał.

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. Adres red.: Warszawa, Daszyńskiego 14, tel. 86693.—Redaktor przyjmuje od g. 13 do 14.—Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16, pokój nr 16, tel. 85 794. Konto w PKO nr. 1.4739.

Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 60 zł, kwartalna 180 zł. B-31612 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".